

Bohdan Łukaszewicz

Publicystyka olsztyńska roku 1956 : (wybór tekstów)

Komunikaty Mazursko-Warmińskie nr 4, 599-658

1996

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Bohdan Łukaszewicz

Publicystyka olsztyńska roku 1956 (wybór tekstów)

7 lutego 1955 r. na łamach „Głosu Olsztyńskiego”, organu KW PZPR w Olsztynie 22-letni wówczas Janusz Bryliński w artykule *O sprawach młodości* pisał: „W ostatnich latach wiele razy zmieniały się »kontury« pojęcia sprawy osobiste. Produkcyjna literatura, film, płytka, żałośnie płytka argumentacja »zebraniowa« długo, za długo szermowały prymitywnym, odstrasającym hasłem »nie ma spraw osobistych«. Rozumiano to nierzadko jak najbardziej dosłownie, jak najbardziej fałszywie. Jakże często bez głębszej przyczyny na tym czy innym zarządzie ZMP pytano dziewczynę: »Czy się kochacie? Jaki to człowiek ten wasz narzeczony?«. I w ciszę zażenowania argument druzgocący: »Koleżanko! Przecież nie ma spraw osobistych!«. Nie dostrzegano w bardzo wielu wypadkach i nie uznawano rzeczy najoczywistszej — wewnętrznego życia człowieka. Chciano zeń wyrzucić wszystko, co nie jest »sprawą społeczną«. Wydawano walkę gorącym uczuciom i marzeniom, odczuciu piękna i młodzieńczym wzlotom. Życie jednak wyglądało inaczej. Nadal istniała miłość, przyjaźń, marzenia żywego człowieka. W żaden sposób »nie szło« zamienić ich w martwy punkt do etykiety, którą potem nalepiono by człowiekowi. Ze zdziwieniem niejednokrotnie stwierdzano, że człowieka nie można ująć w jakieś skostniałe ramki. Powstała więc druga skrajność. Wydzielono po prostu jakąś mizerną cząsteczkę życia młodego człowieka i postawiono ją jako »życie osobiste« obok ogólnie pojętej »walki o sprawę«. Nie widziano często wielkiej wspólności tych dwu spraw, natomiast mówiono o konflikcie między nimi. Skąd ów konflikt?».

Ten, być może nazbyt długi, cytat świadczy, iż artykuł Brylińskiego był zwiastunem nowego w publicystyce olsztyńskiej lat pięćdziesiątych. Był pierwszą, nieśmiałą próbą odchodzenia od obowiązującego jeszcze kanonu. Przełamywanie dominującej wówczas w polskiej prasie funkcji kreatywnej, tworzącej „świat przedstawię”¹, trwało w warunkach olsztyńskich przez cały rok 1955. Dopiero wiosną 1956 dało się zauważyć wyraźne zmiany w dotychczasowej polityce wobec prasy. Związane z nimi było pojawienie się nowych tytułów. 31 marca 1956 r. wydano pierwszy numer „Rzeczywistości”, tygodniowego dodatku społeczno-kulturalnego do „Głosu Olsztyńskiego”, redagowanego przez Zbigniewa Nowackiego. Z datą zaś 15 kwietnia 1956 r. ukazał się dwutygodnik społeczno-kulturalny „Warmia i Mazury” redagowany przez Jana Aleksandra Króla².

1 Por. Z. Rykowski, W. Władyka, *Polska próba. Październik'56*, Kraków 1989, ss. 6—14.

2 Na temat prasy olsztyńskiej por. S. Badowska, *Czasopismo „Warmia i Mazury” w latach 1955—1956. Zarys monograficzny*, Olsztyn 1968; A. Wakar, *Prasa olsztyńska*, w: *25 lat prasy na Ziemiach Zachodnich i Północnych*,

To właśnie dziennikarze i współpracownicy tych tytułów prasowych mieli odegrać istotną rolę w procesie przemian zachodzących w tym szczególnym dla naszej historii okresie. Prasa roku 1956, zarówno ta ogólnokrajowa, jak i regionalna — była zdecydowanie odmienna od tej ukazującej się wcześniej, jak też i po Październiku³. Starano się uwolnić od dotychczasowych „jedynie słusznych” powinności dydaktycznych, zaspokajać powszechnie panujący głód społecznej krytyki, aktywności publicznej, wypełniać potrzeby informacyjne społeczeństwa, odsłaniać wszelkiego rodzaju nieprawości, wynaturzenia władzy i życia publicznego.

Na łamach prasy pojawiły się tematy dotąd skrętnie przemilczane i ukrywane. Próbowano też w nowym, odmiennym świetle przedstawiać bolesne problemy narodowe. Tak działo się z problematyką AKowską⁴ czy mniejszości ukraińskiej⁵. Można odbierać te teksty jako sterowaną centralnie akcję neutralizowania nastrojów społecznych, czy usprawiedliwiania wcześniejszych poczynań aparatu państwowego i partyjnego. Ale jednocześnie — choć z dzisiejszej perspektywy publicystyka ta grzeszy często uproszczeniami, naiwnością, zawiera nierzadko oceny dalekie od poprawności, szczególnie w warstwie historycznej — była wówczas, w 1956 r. często sensacyjna, szczególnie dla młodego pokolenia, bo oto, dla przykładu, okazało się, iż członek Armii Krajowej, dotąd jednoznacznie negatywnie przedstawiany i oceniany, może mieć swoje racje.

Do lata 1956 r. publicystyka olsztyńska zachowywała zdecydowany umiar w krytykowaniu dotychczasowego systemu, swoistą „neutralność” polityczną, a partia nadal kontrolowała i sterowała prasą, zaś dyskusje prasowe stanowiły swoisty instrument propagandowy. Było to widoczne na przykładzie tzw. sprawy „Szczerego”, młodego nauczyciela, który z olbrzymią goryczą przedstawił w liście do redakcji przyczyny bierności środowiska nauczycielskiego wobec inicjatyw społecznych⁶.

Stan ten zmienił się po wydrukowaniu na łamach „Trybuny Ludu”, tuż przed VII Plenum KC PZPR(!), artykułu *Uwagi o propagandzie partyjnej* podpisanego przez A. Korzeniowskiego, instruktora Wydziału Prasy i Wydawnictw KC PZPR⁷. Była to ocena prasy lat 1949—1955. Zawierała m.in. sformułowania odczytywane jednoznacznie jako przyzwolenie do rozszerzenia zarówno formy jak i treści publicystycznych.

Widocznym przejawem radykalizowania się publicystyki był artykuł młodego prawnika Bohdana Michalskiego *Bunt przeciwko karierom bez pokrycia*, który wywołał prawdziwą burzę w niewielkim olsztyńskim światku urzęd-

Kraków 1972, ss. 129—152; B. Łukaszewicz, *Prasa informacyjno-polityczna Warmii i Mazur 1945—1975. Szkice do monografii*, Warszawa 1982.

3 Por. M. Fik, *Kultura polska 1944—1945*, w: *Polacy wobec przemocy 1944—1956*, pod red. B. Otwinowskiej i J. Żaryna, Warszawa 1996, s. 267 i n.

4 Por. niżej tekst 1 oraz S. Ochocki, *Repatriacja*, *Rzeczywistość*, 1956, nr 38 z 22 XII. S. Ochocki, prawnik, żołnierz AK. W listopadzie 1944 r. był w Litewskiej SRR głównym pełnomocnikiem PKWN do spraw ewakuacji, wbrew immunitetowi 30 czerwca 1945 r. aresztowany w Wilnie i wywieziony do Norylska. We wspomnianym artykule ukazuje aspekty prawne (czy raczej ich brak) aresztowań żołnierzy AK jesienią 1944 r.

5 Por. teksty 5 i 7.

6 Por. tekst 4 oraz Z. Nowacki, „Burza” w dyskusji, *Rzeczywistość*, 1956, nr 5 z 28 IV; S. Paż, *W sprawie „Szczerego”*, ibidem; L. Orlik, *W sprawie „Szczerego”*, ibidem, nr 6 z 5 V.

7 Trybuna Ludu, 1956, nr 185 z 4 VII.

niczym⁸. Od tej pory widoczne stało się, iż partia i cenzura poczynają stopniowo tracić kontrolę nad prasą. Jednocześnie rozszerzał się z każdym tygodniem krąg tematyczny, zaostrzał ton wypowiedzi, by swoje apogeum osiągnąć jesienią, gdy wybuchł Październik. Wówczas to dziennikarze oraz nieliczna młoda inteligencja olsztyńska byli główną siłą sprawczą, organizatorską wydarzeń ostatnich miesięcy 1956 r.

Zakres tematyczny publicystyki olsztyńskiej obejmował nader różnorodne wątki życia publicznego. Na łamach prasy znajdujemy szeroką gamę problemów, a wśród nich: propagowanie korzyści wynikających z uprawy kukurydzy⁹, tematykę partyjną, w tym np. piętnowanie „niezgodnych z partyjną moralnością postępowań etatowych pracowników instancji”¹⁰, problemy alkoholizmu¹¹, obronę aparatu bezpieczeństwa publicznego¹², załamanie się ruchu młodzieżowego i poszukiwanie nowych form działania¹³, kwestię samorządu robotniczego¹⁴, spółdzielczości rolniczej¹⁵, problemy szkoły i życia młodej inteligencji na prowincji¹⁶, szeroko pojęte kwestie społeczne¹⁷, zagadnienia polityczne¹⁸, szczególnie eksponowaną tematykę antyklerykalną¹⁹ oraz wywołującą liczne dyskusje i polemiki kwestię polskiej ludności rodzimej²⁰.

Swego rodzaju próbą ukazania bogactwa tej problematyki jest prezentowany wybór tekstów z prasy olsztyńskiej 1956 r. Znajduje się w nim 6 tekstów z „Głosu Olsztyńskiego”, 5 tekstów z dwutygodnika „Warmia i Mazury”, 10 tekstów

8 Por. niżej tekst 11 oraz W. Graczkowski, *Przeciw szkodliwemu wystąpieniu*, Warmia i Mazury, 1956, nr 9 z 15 VIII.

9 R. Sensmęcki, *Historii rozdział pierwszy*, Głos Olsztyński, 1956, nr 68 z 20 III.

10 S. Zagórski, *Kultura i takt obowiązują wszystkich działaczy partyjnych*, Głos Olsztyński, 1956, nr 70 z 22 III; L. Orlik, *O rozbieżnościach między teorią a praktyką*, Głos Olsztyński, 1956, nr 68 z 20 III.

11 H. Goralski, *Bezdroża alkoholizmu*, Warmia i Mazury, 1956, nr 11 z 15 IX.

12 S. Kuchciński, *Refleksje*, Głos Olsztyński, 1956, nr 144 z 18 V i nr 145 z 19 V.

13 R. Sobczak, *Kadrowi działacze ZMP nie mogą być urzędnikami*, Trybuna Młodych (dodatek do Głosu Olsztyńskiego), 1956, nr 4 z 10 IV; J. Seciarz, *Jakiego chcemy ZMP*, Rzeczywistość, 1956, nr 30 z 27 IX; B. Gołębiowski, *Drogi odnowy ruchu młodzieżowego*, Rzeczywistość, nr 34 z 24 XI.

14 M. Szczepański, *Rady — robotniczy samorząd*, Głos Olsztyński, 1956, nr 275 z 17—18 XI.

15 J. Bryliński, W. Mamiński, *Spółdzielnie a becza pod akacją*, Głos Olsztyński, 1956, nr 247 z 17 X.

16 S. Zagórski, *Autorytet strachu czy autorytet argumentów*, Głos Olsztyński, 1956, nr 76 z 26 III; T. Oracki, *Hamulce*, Rzeczywistość, 1956, nr 11 z 6 VI.

17 S. Zagórski, „Etykiety” i rzeczywistość, Głos Olsztyński, 1956, nr 108 z 7 V; R. Oset, *Życie przetrącone wędrującą opinią*, Głos Olsztyński, 1956, nr 141 z 14 VI; *Oddajemy głos* [dyskusja redakcyjna na temat przestępczości wśród młodzieży], Rzeczywistość, 1956, nr 12 z 16 VI; Z. G., *Aby każda niesprawiedliwość została w pełni naprawiona*, Głos Olsztyński, 1956, nr 271 z 13 XI; *Próba odkrycia miasta Olsztyna (Niezaklejonny list)*, Warmia i Mazury, 1956, nr 17 z 15 XII.

18 Poza drukowanymi niżej por. też B. Śliwa, *Notatnik październikowy*, Warmia i Mazury, 1957, nr 1 z 1 I; R. Boski, *Pamiętacie?*, ibidem.

19 Por. niżej teksty 8—10 oraz S. O., *Czy średniowiecze...?*, Rzeczywistość, 1956, nr 38 z 22 XII; (j.k.), *O nauce religii w szkołach*, Głos Olsztyński, 1956, nr 291 z 6 XII.

20 Poza drukowanymi niżej por. cykl T. Z. Willana, *Listy zza Odry* drukowany w pierwszym kwartale 1956 r. na łamach Głosu Olsztyńskiego; S. Grabowska, *O urzeczywistnianiu równych praw*, Głos Olsztyński, 1956, nr 63 z 14 III; J. Baczewski, *Człowiek na banicji*, Rzeczywistość, 1956, nr 6 z 2 V; W. Pieniężna, *W imię prawdy*, Rzeczywistość, 1956, nr 12 z 16 VI; B. Wilamowski, *Czy można „wychylać się”*, Warmia i Mazury, 1956, nr 4 z 1 VI; Z. Dudzińska, *Oni*, Rzeczywistość, 1956, nr 16 z 14 VII; T. Z. Willan, *Warmia i Mazury bez Warmiaków i Mazurów?*, Głos Olsztyński, 1956, nr 191 z 11—12 VIII; W., *Krzywy do wykarczowania*, Głos Olsztyński, 1956, nr 206 z 29 VIII; W. Dąbrowski, *Inteligencja a autochtoni*, Rzeczywistość, 1956, nr 27 z 6 X; E. Tegler, *O niektórych sprawach miejscowej ludności*, Rzeczywistość, 1956, nr 28 z 13 X; J. Kowalski, *Gdzie jest nasza racja?*, Rzeczywistość, 1956, nr 29 z 20 X; W. Dąbrowski, *Gdzie jest nasza racja — po raz drugi*, Rzeczywistość, 1956, nr 31 z 3 XI; F. Dębowski, *Ostatnia szansa*, Rzeczywistość, 1956, nr 38 z 22 XII; L. Orlik, *Wróg nr 1*, Głos Olsztyński, 1956, nr 307 z 27 XII; *Memorial delegacji Warmiaków i Mazurów do przedstawicieli kierownictwa PZPR, ZSL i Rządu*, Rzeczywistość, 1956, nr 39 z 29 XII.

z „Rzeczywistości”. Wyjątkiem jest tekst nr 15 — list olsztyńskich działaczy Stowarzyszenia PAX opublikowany na łamach „Słowa Powszechnego”.

Autorami tekstów są przede wszystkim młodzi dziennikarze (14 tekstów), większość z nich (11) nie przekroczyła trzydziestego roku życia. Ale znaczny jest też udział autorów spoza grona profesjonalnych dziennikarzy — w głównej mierze młodej inteligencji olsztyńskiej.

Teksty drukowane są w ich oryginalnej formie. Ingerencje redakcyjne dotyczyły oczywistych pomyłek drukarskich.

1.

7 kwietnia — Ryszard Tyrolski¹, „Rozmowa z b. AK-owcem” — *Rzeczywistość*, 1956, nr 2.

Było to w drugi dzień świąt. Gdy tylko wszedł, już od progu zawołał:

— Masz, czytaj! mówiąc to rzucił mi „Nową Kulturę”².

— ...?

— Czytaj o AK-owcach!

Na pierwszej stronie umieszczony był artykuł pióra Jerzego Piórkowskiego pt. „My z AK”³.

— Już go czytałem. Ale o co ci właściwie chodzi?

— Jak to o co? — mówiąc to nerwowym krokiem przemierzał pokój. — Położono kres oczernianiu nas.

— Poczekaj. Dlaczego używasz określenia „nas”? Przecież o ile się orientuję to nie miałeś nic wspólnego z AK?

— Widzisz... — tu zawahał się — ja byłem w AK.

— Nigdy o tym nie wspomniałeś. Z tego co obecnie powiedziałeś można wnioskować, że ukrywałeś swą przynależność do AK.

— Tak! I nadal bym nikomu się nie przyznawał. Już dość miałem z tego tytułu przykrości.

— Jerzy! Poczekaj chwileczkę. O ile się nie mylę przyszedłeś z zamiarem, aby podyskutować — prawda? Zresztą po to przyniosłeś „Nową Kulturę”. I jak widzę „gryzie” cię „problem AK”. A więc porozmawiajmy sobie spokojnie. Najlepiej przy lampce wina, tym bardziej, że jest ku temu uzasadniona sposobność — święta. Przystajesz na tę propozycję?

— Oczywiście.

(W tym miejscu jestem winien czytelnikowi i Jerzemu pewne wyjaśnienie. Z początku nie zamierzałem z tą rozmową wyjść na łamy prasy. Potem, po ponownym przemyśleniu, zmieniłem jednak zdanie, uważając, iż problem poruszony w naszej dyskusji jest dość typowy i warto wypłynąć z nim na szersze wody. Nie zamierzam jednak powtarzać dosłownie całej naszej rozmowy, po prostu dlatego, że prowadzona była dość chaotycznie i była bardzo długa. Korzystając jednak z prawa, jakie daje mi rola dziennikarza, rozmowę naszą przedstawiam czytelnikom poważnie skróconą, zachowaną jednak w chronologicznym porządku z wszystkimi zasadniczymi tematami, jakie omawialiśmy.

1 Ryszard Tyrolski (ur. 1932 r. w Łomży), dziennikarz „Głosu Olsztyńskiego”.

2 „Nowa Kultura” — tygodnik społeczno-literacki, organ Związku Literatów Polskich, wydawany w Warszawie od 1950 r. przez Spółdzielnię Wydawniczo-Oświatową „Czytelnik”.

3 Artykuł ten ukazał się z datą 1 IV 1956 r.

- Widzisz — zaczął Jerzy — uczyniliście nam olbrzymią krzywdę.
- Do licha, co za — my? Jeśli mamy dyskutować, to już bez żadnych niedomówień, zgoda?
- Wy, to znaczy propaganda. On z „Kultury” ma rację. Witano go słowami: — „Czołem agencji Gestapo”, a ileż razy ja się nasłuchałem, że jestem faszystą. Na jakiej podstawie? Tylko na tej, że należeliśmy do AK, że walczyliśmy z Niemcami, właśnie faszystami.
- Czekaj Jerzy! Ty twierdzisz, że dosłownie byliśmy w błędzie. Mówię „my”, bo używasz określenia „wasza” propaganda.
- Tak, myliliście się.
- Masz rację, ale tylko częściowo. Byłeś w AK, pamiętasz więc pierwsze lata po okupacji. Cała „góra” AK-owska znalazła się w Londynie, natomiast masa AK-owska, po prostu na bruku. Skończyła się wojna, a więc i wasza rola. I ten niespodziewany stan spoczynku, po wytężonej walce konspiracyjnej, oszołomił was. Poczuliście się jak człowiek, którego z ciemnicy wystawia się nagle na promienie słoneczne. W pierwszej chwili nie wiedzieliście co zrobić. Jaką iść drogą. Skorzystała z tego wasza „góra”. Przecież nie zaprzeczysz, że część AK-owców poszła do lasu, przeciwko nam. Do kogo strzelali? Pamiętam jak w latach 1945—1947 ulicami Białegostoku codziennie szły orszaki pogrzebowe odprowadzające na wieczny odpoczynek działaczy partyjnych, którzy zginęli od kuli bratobójczej. Niejedna z nich wystrzelona była ręką AK-owca.
- Ryszardzie! Ostrzegam! Generalizujesz!
- Nieprawdą jest to, co powiedziałem? A więc zaprzeczaj.
- Uważam, iż generalizujesz. Rzeczywiście w lasach znaleźli się ludzie z AK. Uważam jednak, że nie masz prawa stawiać znaku równości między nimi a tymi, którzy w latach okupacji chwycili za broń i stanęli do walki z najeźdźcą. Nas wtedy nie obchodziła wielka polityka. Jak umieliśmy tak usiłowaliśmy Niemcom zalać sadła za skórę. I wiem, że dobrze nas popamiętali. Po wojnie część AK-owców poszła do lasu. Przeważnie oficerowie i garstka żołnierzy. Uważam, że to zupełnie inna sprawa, którą trzeba oddzielnie rozpatrywać. Ja sam z głębokim oburzeniem i bólem słuchałem sprawozdań z wielu procesów, na których ujawniono dwulicową rolę „góry” w czasie okupacji. Ale zrozumcie wreszcie, że my, szara masa, nie byliśmy w to wplątani. Myśmy szli do AK nie po to, aby mędrkować, a po to, aby bić się. A tymczasem wszystkich nas postawiono w jednym rzędzie z tymi „kupczykami” — tak ich określam — czy słusznie?
- Masz słusność. Ale ja nie usiłuję sprawą leśną obciążyć wszystkich AK-owców. To byłoby z gruntu fałszywe. Obaj jednak stwierdzamy, że takie fakty istniały. I one zaważyły na tym, że wytworzyła się atmosfera nieufności do AK. Uważano, że każdy AK-owiec jest zaprzędanym „londyńczykiem”. Czy słusznie, że zignorowaliśmy tę różnicę, o której wspominasz? Nie. Historia wykazuje, że popełniono przez to wiele błędów. Czy ten błąd dopiero obecnie spostrzegliśmy? Także nie. Przecież już od lat w propagandzie naszej mówimy o spostrzeżonych błędach i walczymy o ich usuwanie. Ostro potępiamy nadgorliwą czujność personalników rzucających kłody pod nogi tym wszystkim, którzy w ankiecie mają napisaną przynależność do AK. Weźmy choćby ciebie. W DOKP⁴ cieszysz się dobrą opinią. Stawiają przed tobą poważne zadania... I ile godzin — z czasu przeznaczonego dla żony i dziecka — poświęcasz na pracę zawodową? Czy można więc mówić, że jesteś wrogiem?

⁴ DOKP — Dyrekcja Okręgowa Kolei Państwowych istniała w Olsztynie do końca 1962 r.

— W teorii masz rację, ale w praktyce jest poważna rozbieżność pomiędzy słowem a czynem.

— Zaprzeczasz więc, że usilnie walczyliśmy o naprawianie błędów. Czy nie odczułeś poważnej różnicy w traktowaniu spraw AK-owskich dajmy na to w latach pięćdziesiątych a obecnie?

— Z tym się zgadzam. To fakt. Sam wiem, że jeśli w roku 1950 musiałem zrezygnować z pracy w poprzednim przedsiębiorstwie, to właśnie dlatego, że nie miałem w porządku ankiety personalnej. Nie chcąc więcej narażać się na podobne nieprzyjemności, przestałem przyznawać się do przynależności do AK. Znam także wielu takich, którzy szczerą się swą przynależnością do AK, i nie mają obecnie żadnych przykrości. Problem AK-owski nie należy jednak tylko do historii. Mam znajomą. Jej mąż w AK. Właśnie w Białymstoku. Po wyzwoleniu wciągnięto go do podziemia. Rozlepił ulotki i malował hasła antyludowe. W czas jednak spostrzegł się, że idzie nie tą drogą. Ujawnić bał się, gdyż w czasie przysięgi grożono im śmiercią w razie zdrady. Związał do Olsztyna. Tu zaczął uczyć się. Po wykryciu grupy białostockiej Bezpieczeństwo trafiło także na jego ślad. Został aresztowany i skazany na 9 lat. Nie wiem, czy jego współtowarzysze mieli na sumieniu jeszcze inne wykroczenia. Ale wysokość kary była, w stosunku do nich, utrzymana także w tej granicy. Ja zdaję sobie sprawę, że na ówczesnym etapie ostre karanie było potrzebne, ale...

— Pozwól, że ci przerwę. Przecież sam stwierdziłeś, że tych, którzy poszli do lasu, trzeba inaczej sądzić, nie wiązać z całą masą AK-owską.

— Tak mówiłem i tak powinno być. Tylko to, że część z nich znalazła się w podziemiu jest również waszą winą. Zaraz po wyzwoleniu odgradziliście się od nas murem nieufności. Byliśmy więc w ślepym zaułku, nie wiedząc, co wybierać. Część poszła za swymi oficerami, pod dowództwem których walczyli z okupantem, do podziemia.

Umilkł. Sięgnął po wino i napęłwiwszy nim kieliszki, pił powoli.

— Wiesz — zaczął ponownie — to są sprawy dla nas bolesne. Dziś, nie ma przecież już AK, ale są ludzie, są wspomnienia, które żyją wśród nas. Gdy przypomnę noce spędzone na zasadzkach, potyczki, to tak jakoś dziwnie robi się człowiekowi na duszy. Wracam jednak do sprawy. Ja sądzę, że koniecznie trzeba przeprowadzić rewizję niektórych procesów AK-owskich. Są tacy, którzy niesłusznie siedzą. Ci, którzy nie występowali czynnie przeciw władzy ludowej, a mieli tylko inne poglądy, którzy byli karani za to tylko, że mieli inne poglądy.

— Z tymi karami masz — wydaje mi się — rację. Zasadniczą rację masz w tym, że istotnie walkę ideologiczną zastępowano niekiedy pociągnięciami administracyjnymi, po prostu za pomocą interwencji UB. Widzisz, nam wszystkim była i jest sprawa rewolucji niezmiernie droga. Pomyśl, ilu naszych ludzi — już po wyzwoleniu — zginęło. Dlatego w pierwszych latach trzeba było istotnie walczyć ostro. Ale potem, uważam, że posługiwanie się nadal tymi metodami w walce ideologicznej było niesłuszne, nawet wręcz fałszywe, gdyż przez to odrzuciliśmy od naszej sprawy wielu uczciwych ludzi. Zaciążyła tu niesłuszna stalinowska teza stwierdzająca, że w miarę postępu budownictwa socjalizmu zaostrza się równocześnie walka klasowa. Istotnie, walka klas trwa, ale przecież w miarę coraz większej naszej przewagi, kurczy się baza wroga i środki walki. Pamiętam, jak w latach 1947—1950 szafowano hasłem:

„Kto nie z nami, ten przeciw nam”. Szybko jednak spostrzegliśmy się, że tego rodzaju teoria jest głęboko niesłuszna.

— No cóż — zakończyłem. Z tego co powiedzieliśmy sobie, sam widzisz, że tematy te wymagają obszernej dyskusji. I dobrze się stało, że dyskusja ta zaczęła się wreszcie toczyć. To pozwoli na lepsze zrozumienie się.

2.

7 kwietnia — Władysław Gębik¹, „Odwilż czy odelga” — *Rzeczywistość*, nr 2.

W gwarze, jaką mówi lud polski na Warmii i Mazurach, oraz w regionach sąsiednich, zachowało się wiele pięknych wyrażen, które zaginęły dość dawno w języku literackim, jak i w gwarach innych regionów. Do takich wyrażen należy słowo „odelga”. Oznacza ono dziś prawie to samo, co odwilż, niegdyś jednak miało daleko głębsze znaczenie. Zwiastowało nie tylko ulgę, ale i odejście tego wszystkiego, co złe, co krępowało i przygniatało moralnie, co dręczyło fizycznie, materialnie.

Odwilż oznacza zwykle ulgę chwilową, po której nieraz srogi mróz ścina w okowach lodu życie przyrody, odelga natomiast, to przedwiosnie zapowiadające, zgodnie z konstytucją przyrody, nadejście najwspanialszego okresu jej rozwoju. W rozwoju tym koegzystencja pojedynczych ras i gatunków oraz małych i wielkich zespołów biologicznych głosi triumf życia nad śmiercią.

Kiedy wracałem z Warszawy, po niesłychanie interesującym posiedzeniu Rady Kultury i Sztuki, stawiałem sobie pytanie, czy wielkie przemiany, jakie zachodzą w naszym życiu kulturalnym, oznaczają tylko odwilż, czy też są one zapowiedzią odelgi, czy jest to tylko nowe pociągnięcie taktyczne „na obecnym etapie”, czy też oznaka radykalnego zwrotu, po którym wyzwolona z więzów schematyzmu i dogmatyzmu kultura naszego narodu rozwinie się w drugą epokę Odrodzenia. Natrętna myśl — odwilż czy odelga — nie opuszczała mnie do samego Olsztyna.

Ten niecierpliwy niepokój, usprawiedliwiony wielu smutnymi doświadczeniami, wyraża pytanie, czy potrafimy u progu tego nowego okresu wyciągnąć właściwe wnioski z popełnionych błędów, włączyć w budowę nowych dni twórcze siły całego narodu, czy też żyjąc dalej w świecie pozorów, zamkniemy ten nowy, bardzo silny podmuch rewolucji w jakichś złoconych ramkach nowego „etapu”.

Przyszłość naszej ojczyzny — i nie tylko naszej ojczyzny — przyszłość, o jakiej marzymy, zbudować mogą tylko czyste ręce zespolone najściślej z czystymi myślami. Dlatego u progu nowej ery potrzeba tak bardzo nowej atmosfery moralnej, która obok wielkich haseł i poczynań propagandowych przekonywać będzie wczorajszych niedowiarów logiką faktów.

Idea współlistnienia ustrojów i narodów, głoszona przez obóz pokoju, zdobywa świat. Zapatrzeni w wielkie dzieło budowy światowego pokoju nie powinniśmy jednak zapominać, że jednym z podstawowych warunków zwycięstwa tej wielkiej idei jest umiejętne rozwiązanie problemu koegzystencji wewnętrznej. Ona bowiem dopiero wyzwoli wszystkie twórcze siły narodu i wprzęgnie je w zwycięstwo socjalizmu.

Minister Sokorski² zabierając jako ostatni głos na posiedzeniu Rady Kultury i Sztuki stwierdził, że w czasie dwudniowych obrad nie przemawiał nikt z innych pozycji, jak tylko

¹ Dr Władysław Gębik (ur. 1900 r.), pedagog, działacz społeczno-kulturalny, wówczas kierownik oddziału olsztyńskiego Państwowego Instytutu Sztuki, radny i przewodniczący Komisji Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej w Olsztynie.

² Włodzimierz Sokorski (ur. 1908 r.), minister kultury i sztuki (do 19 kwietnia 1956 r.).

z pozycji troski o wielką sprawę socjalizmu, narodu i sztuki, toteż trzeba do końca zaufać artystom, że w tej wielkiej bitwie idącej przez cały świat każdy z nich jest po naszej stronie.

I to jest prawda naszych nowych dni.

Jakże realizować ją będziemy na naszej ziemi warmińsko-mazurskiej? Jak przetłumaczymy na język praktyczny i na co dzień hasła wielkich idei, które się rodzą?

Nim na pytanie to padnie konkretna odpowiedź, konieczne jest uświadomienie sobie tego wszystkiego, co dobrego i co złego zrobiliśmy w życiu społeczno-kulturalnym na Warmii i Mazurach. Jaki jest realny poziom moralny i materialny, z którego startować nam wypadnie w wielką przyszłość naszego narodu.

Musimy zrobić nasz regionalny obrachunek z przeszłością, gruntownie przeanalizować przyczyny zmarnowania entuzjazmu pracy wielu najofiarniejszych synów tej ziemi i doprowadzenia do takiej atmosfery moralnej w jedenastym roku niepodległości, w której wielu Warmiaków i Mazurów obawiało się we własnej ojczyźnie przyznać do tego, że byli kiedyś członkami Związku Polaków w Niemczech.

Musimy uświadomić sobie, jak ogromnie niski jeszcze jest poziom życia kulturalnego w województwie olsztyńskim. Nie wolno nam sugerować się szumnymi sprawozdaniami, ani setkami tysięcy oprawnych tomów zalegających półki naszych bibliotek, ani imponującą liczbą naszych zespołów artystycznych, czytelnicznych i samokształceniowych.

Zagłębmy do naszych państwowych gospodarstw rolnych, jednego z najważniejszych czynników gospodarki kraju i województwa olsztyńskiego. Stwierdzimy bez żmudnych badań, że poziom życia kulturalnego jest tam niezmiernie niski. Spotykamy wypadki zwalniania ze stanowiska bardzo dzielnych brygadystów dlatego, że nie umieją pisać i czytać — a przecież walkę z analfabetyzmem uznaliśmy za zwycięsko zakończoną już kilka lat temu. Przekonamy się, że robotnicy w PGR nie czytają ani książek, ani gazet. Brudne kwatery i mieszkania, podobnie jak nieużywanie mydła i ręcznika, sprzyjają rozwojowi chorób i przeróżnych insektów, brak zaś jakichkolwiek rozrywek kulturalnych pcha tam naszą młodzież w alkoholizm.

Na to, iż mogłoby tam być o wiele lepiej, wskazują rzadko spotykane państwowe gospodarstwa rolne, które moglibyśmy uznać prawie za wzorowe. Chlubne wyjątki potwierdzają regułę. Dlatego należałoby w gospodarstwach dobrze prowadzonych odbywać odprawy i narady aktywu kierowniczego. Jest to najlepsza droga do upowszechnienia dobrych doświadczeń i cennych osiągnięć kierownictwa i załogi. Ponadto na takich bezpośrednich przykładach wzorowej pracy i osiągnięć, będących owocem właściwego stosunku kierownictwa do robotników i odwrotnie, najlepiej uczyć i trzeba tak uczyć.

Obecna sytuacja sanitarna, oświatowa i społeczno-kulturalna w państwowych gospodarstwach rolnych województwa olsztyńskiego jest właśnie tym poziomem, z którego wypadnie nam startować w nowe, lepsze dni. Przypuszczać należy, że zarówno dyrekcje zjednoczeń PGR, jak i zainteresowane związki zawodowe zdają sobie sprawę z tej bardzo smutnej sytuacji skoro nie miały odwagi przysłać swych delegatów na posiedzenie komisji kultury WRN poświęconej sprawie życia kulturalnego w PGR. Jedyny, tym przez to cenniejszy wyjątek stanowi tylko dyrekcja Zjednoczenia PGR w Kętrzynie, która na obydwie posiedzenia komisji kultury przysłała swego przedstawiciela. Dzięki rzeczowym argumentom uzyskał delegat kętrzyńskiego zjednoczenia zapewnienie pomocy komisji dla prac dyrekcji zmierzających do podniesienia poziomu życia kulturalnego i higieny w gospodarstwach okręgu kętrzyńskiego.

To jest nasza olsztyńska rzeczywistość w przededniu wielkiej kampanii współzawodnictwa w rolnictwie, przy organizowaniu którego sprawy kulturalne odegrać powinny rolę najważniejszego i najwartościowszego czynnika mobilizującego. Dokładne rozeznanie tej rzeczywistości jest nieodzownie konieczne, jeżeli ma nam udać się start w nowy, radosny okres naszego życia, którego trwałym symbolem będzie triumf zdrowego rozsądku.

3.

21 kwietnia — *Zdzisław Mirek*¹, „*Bronię prowincji*” — *Rzeczywistość*, nr 4.

Dla człowieka z zewnątrz przyjazd do takich np. Bartoszyc, niewielkiej miściny, położonej na północnych krańcach woj. olsztyńskiego z siedzibą wszystkich możliwych władz i instytucji przywiązanych do powiatu — ma swój niewątpliwy urok. Przy czym nie chodzi tu tylko o urok z rzędu takich, że w dzień targowy możesz ujrzeć obok chłopskich furmanek, ciężarowych wozów, należących do miejscowych przeważnie instytucji, maszerujące miejskimi ulicami powiedzmy sobie niezbyt czystymi, autentyczne bydło, po większej części przynależne do tzw. rogacizny. Prócz ciekawych spojrzeń przechodniów (właściwość ludzi z małych ośrodków) dojdzie cię zadumany i melancholijny wzrok ślicznego cielątka...

Nie jeden młody człowiek z nakazem pracy w kieszeni i z marzeniami o bujnym, lepszym życiu w głowie zaklnie z pasją i głośno: do diabła z takim i innym urokiem małomiasteczkowym... Prowincja i tyle. Za mała, by przyzwycieżyć, za duża by się — na przykład, powiesić.

To przekleństwo, które jest, jak to się mówi, historycznie prawdziwe, niechaj nam posłuży w tym reportażu jako punkt zaczepienia. Czy naprawdę Bartoszyce są dla młodych inteligentów prowincją nie do zniesienia? Jeśli tak, czy nią być muszą? I czy jest wyjście inne prócz karmienia swej wyobraźni nadzieją na jakieś możliwości wyjazdu?

Bartoszyce, jak większość powiatowych miast woj. olsztyńskiego, to przede wszystkim skupisko ludzi administrujących tą częścią naszej ojczyzny, którą nazywamy powiatem. Są tu więc urzędnicy i działacze ważnych i mniej ważnych (ta hierarchia w tzw. terenie jest bardzo uchwytna) instytucji i urzędów, jest sporo inteligencji: nauczycieli, lekarzy, prawników, inżynierów oraz niemało pracowników uspołecznionego handlu.

Jeden większy zakład pracy w Bartoszycach — fabryka dziewiarska² i kilka mniejszych jak POM³, przedsiębiorstwo budowlane, cegielnia, kaflarnia i wreszcie kilka spółdzielni stanowią bazę par excellence klasy robotniczej. Ta struktura społeczna narzuca miastu swoje piętno, nadaje spokojny, rzekłbyś senny, statyczny charakter.

Kultura na szczeblach

Drugi sekretarz KP stropił się wyraźnie pod wpływem zadanego mu pytania.

— ...Życie kulturalne w mieście, wiecie, właściwie leży. No cóż, jedyne kino dźwiga na

1 Zdzisław Mirek (ur. 22 VIII 1931 r.), absolwent Wydziału Filozoficzno-Społecznego (Sekcja Dziennikarska) Uniwersytetu Jagiellońskiego, z nakazem pracy w Olsztynie od 1953 r., dziennikarz działu społeczno-kulturalnego „Głosu Olsztyńskiego”.

2 Bartoszyckie Zakłady Przemysłu Dziewiarskiego, powstały w 1952 r. W 1956 r. zatrudniały około 387 osób, głównie kobiety.

3 POM — Państwowy Ośrodek Maszynowy w Bartoszycach, w 1956 r. zatrudniał około 100 osób.

swych barkach odpowiedzialność za dostarczenie ludziom kulturalnej rozrywki. Wszystko rozbija się o to, że nie ma u nas Domu Kultury, gdzie mogłoby się to życie kulturalne skupić. Dzieci mają swój Dom Harcerza, część młodzieży skupia się przy świetlicy spółdzielni „Krój”, która ma doskonale wyposażenie. Ale to wszystko nie jest wiele.

— W Bartoszykach jest sporo inteligencji, są nauczyciele, lekarze, w Prezydium RN, w sądzie pracują ludzie po studiach, którzy jakoś wspólnie mogliby to życie kulturalne miasta rozruszać. Jakie jest wasze zdanie na ten temat?

— Zgadzam się z wami. Inteligencja w takim miasteczku powinna nadawać ton życiu kulturalnemu. Nauczyciele swego czasu myśleli o swoim klubie. My robiliśmy pewne wysiłki, żeby inteligencję przyciągnąć do nas, uaktywnić. Ale to jakoś nie wychodziło. Widocznie nie umieliśmy znaleźć z tymi ludźmi wspólnego języka. Najważniejsza teraz dla nas rzecz: Dom Kultury. Wtedy będzie można o czymś pomyśleć wspólnie.

Kierowniczką oddziału kultury jest tow. Michałowska⁴, z zawodu nauczycielka, kobieta, jak się zdaje, energiczna i ze wszystkich swych poprzedników najbardziej odpowiednia na to stanowisko. Tym bardziej zdziwiła mnie jej uwaga, że nie czuje się w tej pracy zbyt dobrze. Zwierzenie to zrobione było prawdopodobnie z myślą o nieprzeznaczeniu go do druku. W takim razie bardzo przepraszam.

Trafiłem do oddziału w bardzo gorącym okresie, tuż po sesji PRN poświęconej sprawom kultury. W uchwale rady, której można to i owo zarzucić, jest jeden bardzo istotny postulat, który zobowiązuje Prezydium do przeprowadzenia w II kwartale br. sesji gromadzkich rad narodowych na tematy kultury i sportu. I oto stałem się naocznym świadkiem, jak można spaskudzić najsluszniejszą uchwałę w trakcie jej realizacji. Kierownik wydziału organizacyjnego, zapomniawszy widać o mądrości ludowego przysłowia „co nagle, to po diable”, zdecydował, że w kwietniu muszą się odbyć sesje we wszystkich gromadach. Nie byłoby jeszcze w tym nic nadzwyczajnego, gdybyśmy nie dodali szczegółu, który mówi o tym, że sesje praktycznie przygotowuje oddział kultury. W myśl więc tego planu pracownicy oddziału zmuszeni są w ciągu jednego dnia obsłużyć np. dwie sesje w Sępopolu. Każda taka sesja poprzedzana jest wyjazdami do każdej gromady, analizowaniem sytuacji, pisaniem referatu (zupełnie nie jest to dla mnie zrozumiałe, czemu to właśnie mają robić urzędnicy z Prezydium nadrzędnej instancji). A skutek owego planu widzę tylko jeden: robi się sesję na chybcika, byle jak, formalnie, by potem z dumą wyrecytować w referacie na następnej sesji Powiatowej Rady, że uchwała została zrealizowana. Zrealizowana może, ale jak?

Tow. Michałowska jest z tego właśnie powodu porządnie zdenerwowana, ale jak dotąd nie udało jej się przekonać wydziału organizacyjnego, że narzucony (nie wiadomo dlaczego narzucony) harmonogram sesji jest, po prostu mówiąc, bzdurny.

Stanisława Dąbek, przewodnicząca ZP ZMP, zgadza się ze mną co do jednego zupełnie, że z kulturą w mieście nie jest najlepiej, że można by dużo zrobić. Na mój zarzut, który powtórzyłem zresztą za oddziałem kultury, że zarząd powiatowy nie wtrąca się do spraw kulturalnych w mieście, a tym bardziej na wsi — przewodnicząca dała mniej więcej taką odpowiedź: ja nie wiem towarzyszu, czy my mamy za nich (tzn. za oddział kultury) robić. Często mówię towarzyszom z oddziału: w tej a w tej wsi jest młodzież chętna, która chciałaby zorganizować np. zespół, to oni nam na to mówią: załóżcie, dajcie sprawozda-

⁴ Weronika Michałowska, nauczycielka, od 1954 r. prac. Prezydium Powiatowej Rady Narodowej.

nie. Mnie się zdaje, że to raczej do nich należy. Zresztą może my nie mamy racji. Faktem jest, że np. w mieście nie potrafimy przyciągnąć młodzieży do świetlic, do pracy kulturalnej.

Fakty i ludzie

W Miejskiej Bibliotece zimno. Długa sala w kształcie kichy urządzona jest bardzo prymitywnie. Biblioteka jest w stadium przeprowadzki. Nowy lokal nie będzie ponoć wiele lepszy. Co gorsza, jest niepewny, bo targi między odpowiednimi instytucjami jeszcze nie zostały zamknięte.

Młoda bibliotekarka zmarzniętymi rękoma (mimo rękawiczek) wyszukuje kartoteki, zapisuje nazwiska, podaje książki. Podziwiam ją, że w takich warunkach zostaje jej jeszcze miejsce na uprzejmość.

Biblioteka w Bartoszycach ma około 1000 czytelników. W tej liczbie znajdują się czytelnicy z okolicznych wiosek, PGR-ów, spółdzielni produkcyjnych, którzy wraz z przywożonymi na targ produktami rolnymi zabierają do wymiany książki. Z samego miasta najwięcej czytelników stanowi młodzież szkolna, nauczyciele. Dużo czytają pracownicy sklepów, robotnicy miejscowych zakładów pracy. Nie widać w bibliotece natomiast tych ludzi, którzy w hierarchii powiatowej społeczności stoją najwyżej. Ciekawe jako objaw — jak mawiał pewien poeta.

Przed wojną było tu kasyno dla szczególnie uprzywilejowanej kasty „Herrenvolku” — oficerów SS. Śliczna willa tak na zewnątrz, jak i wewnątrz. Dziś przeznaczona jest dla młodzieży jako Dom Harcerza. Od razu trzeba powiedzieć, że jest to chyba najlepiej pracująca w województwie tego rodzaju placówka. Skupia się w niej około 400 dziewcząt i chłopców od 10—18 lat. Nie czas tu teraz na wyliczanie wszystkich zajęć, jakie się w domu odbywają. Interesuje nas tutaj głównie osoba Antoniego Astemberga — instruktora teatralnego i choreograficznego. Sam Astenberg gdyby mógł, to najchętniej by się potroił, bo wszędzie jest potrzebny, wszędzie go wołają. A tu człowiek jest tylko człowiekiem, a doba ma tylko 24 godziny. Astenberg skończył wydział aktorski w Wyższej Szkole Teatralnej i historię. Po krótkim okresie występów na scenie rzucił tę drogę kariery z powodów, które dyskretnie nazywa rodzinnymi, by bez reszty poświęcić się pionierskiej (nie boję się użyć tu tego patetycznego słowa) pracy w terenie.

Marzę — powiada — o stworzeniu czegoś w rodzaju teatru eksperymentalnego dla dzieci na wzór pionierskich teatrów w ZSRR. Tłumaczę właśnie pracę pt. „Pionierski teatr”, ale chciałbym przed tym koniecznie wyjechać za granicę, by taki teatr zobaczyć na własne oczy. Teraz mamy właśnie przygotowane trzy baśnie Andersena „Nowe szaty króla”, „Księżniczka na ziarnku grochu”, „Królowa śniegu”. Oprócz tego w świetlicy „Kroju” przygotowuję dwie sztuki „Chory z urojenia” i „Szkie węglem”. Z nauczycielami mam przygotowywać „Imieniny dyrektora”, ale na razie naprawdę nie mam czasu. Jeszcze w teren chciałoby się pojechać, ale najgorsze — nie mamy środków lokomocji. Złożyłem podanie o przydział motocykla, nie wiem, czy otrzymam. Aha, jeszcze jedno: Astenberg jest autorem sztuki satyrycznej, piętnującej stosunki w miejscowych PGR-ach, GS-ach itp. pod tytułem „Objeżdżalnia społeczna”, która była z powodzeniem wystawiana w Bartoszycach i na wsiach. Czy to i tak nie za wiele, proszę Czytelników?

Państwo w państwie

Naprzeciw Domu Harcerza, odgradzony wąskim pasemkiem iglastego lasu, rozłożył się potężny kompleks bloków ustawionych w znanym stylu niemieckiego budownictwa koszarowego. Były tu kiedyś koszary SS. Dzisiaj znalazły tu pomieszczenie liceum pedagogiczne, liceum dla wychowawczyń przedszkoli, Dom Dziecka oraz całe liczne grono pedagogiczne. Istny kombinat kształcenia kadr oświatowych. Na zewnątrz wygląda to wszystko bardzo imponująco, niczym właśnie państwko w państwie. Jak się wkrótce przekonamy nie tylko zewnętrzny wygląd upoważnia do takiej metafory.

Dyrektor liceum pedagogicznego⁵ przyjął mnie w swoim prywatnym, schludnie urządzonym gabinecie. Przyznam się, że trochę mnie zdziwił na wpół wojskowy uniform człowieka na tak bardzo cywilnym stanowisku. Od razu muszę przy tym wyznać, że ten właśnie człowiek odkrył mi najciekawsze prawdy o bartoszyckiej „prowincji”, prawdy pozytywne, których na próżno tak długo szukałem w swych wędrówkach po mieście.

W ośrodku żyje i pracuje przeszło 1000 ludzi, czyli prawie 1/9 część całych Bartoszczyk. I tutaj, można rzec, kwitnie prawdziwe życie kulturalne. To tutaj odbywają się najciekawsze dyskusje literackie i światopoglądowe, to tutaj co niedziela urządza się poranki poświęcone najnowszym zagadnieniom fizyki jądrowej, to tutaj urządza się wieczory literackie, konkursy recytatorskie, tutaj właśnie dyskutuje się nad ciekawszymi artykułami (zwłaszcza ostatnio) z prasy literackiej i codziennej. Z tą prasą to cała heca. Nie można dostać w kiosku od niejakiego czasu żadnego czasopisma. Znikają. Krążą anegdota, że jedyny egzemplarz „Po prostu”⁶ wyłapuje ksiądz proboszcz...

Dyrektor Korkozowicz, który jest również przewodniczącym powiatowej komisji kultury i oświaty, zgadza się z moją uwagą. — Tak, cały błąd polega na tym, że to wszystko, co się u nas dzieje, tylko w małym stopniu wychodzi poza kompleks naszych budynków. Choć przecież nie całkiem oderwaliśmy się od miasta. Ale ten kontakt odbywa się tylko poprzez występy, z jakichś tam okazji, artystycznych zespołów. W ogóle na tematy kulturalne pogadałiśmy sobie niemało.

Końcowy obrachunek

Włóczę się po ulicach Bartoszczyk, trapią mnie myśli. Staram się z licznych rozmów, obserwacji, a nawet niedomówień wysnuć jakiś generalny, słuszny wniosek. I co z tych kilku obrazków rzuconych tu nieprzypadkowo można zauważyć. Chyba to, że przy mądrym i umiejętnym zespoleniu wysiłków wszystkich ludzi, którzy chcą i mają coś w kulturze do powiedzenia, a jest ich w Bartoszczykach sporo, można by uczynić z tego miasteczka wcale poważny ośrodek życia kulturalnego, który oddziaływałby nie tylko na mieszkańców miasta, odległych często od kultury, ale na zapuszczoną szczególnie bartoszycką wieś. W Bartoszczykach nie brakuje ludzi, którzy taki ośrodek kulturalny mogliby z łatwością wspólnym wysiłkiem stworzyć. Mógłby to być jakiś szeroko pojęty klub kulturalny miasta, gdzie dawałby występy od czasu do czasu jeden duży i dobry zespół dramatyczny pod jednym kierownictwem, skupiający ludzi z różnych środowisk.

⁵ Jerzy Korkozowicz (ur. 1919 r.), absolwent polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Dyrektorem szkoły w Bartoszczykach był w latach 1955—1962.

⁶ „Po prostu” — tygodnik studentów i młodej inteligencji, red. naczelnym był Eligiusz Lasota.

Bartoszyce mają swojego Ciukszę⁷. Jest to niemały zespół mandolinistów o dużych aspiracjach artystycznych. Można by więc urządzić jakieś poniedziałki muzyczne, np. organizowane przez klub. Czyż nie można wciągnąć do brania udziału w wieczorkach literackich i dyskusyjnych ludzi spoza wąskiego klanu jednego zawodu, właśnie w takim klubie. Czy nie można stworzyć, np. jednego dobrego zespołu estrady poetyckiej czy satyrycznej. To nie są demagogiczne propozycje. Bo te rzeczy faktycznie w Bartoszycach bywają robione. Tylko porozsypywane, tylko niewidoczne dla oka przeciętnego mieszkańca, który często zabija małomiasteczkową nudę pijatyką w lokaliku, który ma być ponoć kawiarnią, a w którym wszystko można dostać prócz kawy.

Jeszcze jeden nasuwa się nieodparty wniosek, że instytucje, które powołane są m.in. dla organizowania i tego, co nazywamy rewolucją kulturalną, praktycznie stoją obok tych wszystkich spraw. Wśród wielu działaczy, którzy działają właśnie w kulturze istnieje bardzo niebezpieczne zjawisko zawężania pracy kulturalnej do pracy w zespołach artystycznych. Ambicją każdej świetlicy, każdego oddziału kultury jest utworzenie na swym terenie jak najwięcej zespołów, które się bardzo często ledwo trzymają przy życiu, nie dając społeczeństwu istotniejszych korzyści. Już chyba czas wyjść poza ten zakłęty krąg i spojrzeć na sprawy kultury nieco szerzej. I wtedy może niejednego człowieka przestanie straszyc pogardliwie dziś brzmiące słowo: prowincja.

4.

21 kwietnia — Zbigniew Nowacki¹, „Człowiek za 1250 złotych” — Rzeczywistość, nr 4.

Zawsze byłem pewien, że od szczerości do strachu jest bardzo daleko. A tymczasem nie, okazuje się, że są ludzie uważający się za szczerych, a jednocześnie w codziennym życiu zwykli tchórze.

Oto przykład. Pisze do Redakcji młody nauczyciel ze Szczytna, i z góry zakłada, że szczerze wypowiedzieć się może tylko na papierze i to podpisanym nie nazwiskiem, a anonimem.

„Zainteresował mnie ostatnio — rozpoczyna się list — artykuł M. Korolkiewicz pt. »Gdzie leży przyczyna«² nie tylko dlatego, że jestem młodym nauczycielem, ale również dlatego, że poruszone w nim zagadnienie jest mi dobrze znane.

Autorka artykułu doszukuje się tylko przyczyn, ale chyba nieistotnych. Przyczyny te są znacznie głębsze. Piszę ten list dlatego, że może pomogę autorowi artykułu do znalezienia obiektywnych, słusznych i prawdziwych przyczyn bierności ogółu nauczycieli, nie tylko młodych, wobec obecnej rzeczywistości.

Nauczyciel, może bardziej niż ktokolwiek, widzi i dostrzega olbrzymią różnicę między tym co jest w Konstytucji PRL, prasie, książce, mówiąc krótko — między tym co się mówi i pisze, i co się robi. Piękne hasła ustroju socjalistycznego sprowadzają się w rzeczywistości w Polsce Ludowej do ustroju pełnego despotyzmu, zakłamania moralnego, demoralizacji. Nic więc dziwnego, że nauczyciel nie chcąc kłamać, musi ulegać obiektywnym, pełnym prostoty argumentom chłopów. Ucząc się w szkole nie miałem możliwości spotkać się z tak

⁷ Edward Ciuksza — kierownik popularnej wówczas, dzięki koncertom w Polskim Radio, orkiestry mandolinistów.

¹ Zbigniew Nowacki, dziennikarz „Głosu Olsztyńskiego”, kierownik działu społeczno-kulturalnego, jednocześnie redaktor dodatku tygodniowego „Rzeczywistość”.

² Artykuł Marii Korolkiewicz ukazał się w nr. 55 „Głosu Olsztyńskiego” z 5 III 1956 r.

perfidnymi i wyrafinowanymi metodami tłumienia krytyki przez Wydział Oświaty i KP, niezależnie od tego kto jest kierownikiem, a kto sekretarzem.

Szczerze można się wypowiedzieć tylko na papierze nie podpisując się. Autor artykułu ani słowa nie wspominał o sytuacji materialnej nauczycieli, o nędznym wynagrodzeniu, które jest ciągle obcinane z różnych dodatków.

Przed wszystkim nikt głodny, obdarty, za nędzne wynagrodzenie nie będzie pracował społecznie. Porównajmy dla przykładu miesięczne zarobki instruktora KP[PZPR], które wynoszą 1250 złotych i nauczyciela 660 złotych³, a przyczyny stają się zupełnie jasne i zrozumiałe. — »Szczerzy«.

Nie wiem, gdzie i kto wychował tego młodego człowieka. Nie wiem też, kto wpoił mu tyle jadu, nienawiści prawie i kazał stanąć na fałszywej, straconej pozycji społecznej. W jakiś spaczony i wykoślawiony sposób patrzy ten nauczyciel na wszystkie sprawy naszego codziennego dnia. Nie z troską, by zmienić jego niedostatki, by pomóc w naprawieniu niewątpliwych błędów, ale z założeniem, że i tak nic zrobić nie można, bo „despotyzm”, „zakłamanie” itd.

Człowieku — bo „wychowawco”, to naprawdę trudno napisać — w jakich okularach chodzisz po tym najpiękniejszym ze światów, że tak mało o nim wiesz? Błędy ludzi uważasz za błędy ustroju, kacykostwo i dygnitarstwo niektórych działaczy państwowych czy partyjnych bierzesz za „despotyzm” partii. Nasza wewnętrzna polityka wydaje ci się „zakłamaną”, grą, w której ty jesteś tylko bezwolnym pionkiem, który ma milczeć i który nic nie znaczy. A w końcu — i to jest chyba najbardziej tragiczna strona twojej roli — gotów jesteś zgodzić się na „despotyzm”, „zakłamanie”, nawet „demoralizację” za cenę odpowiedniej kwoty.

Zastanawiałem się, pisząc ten artykuł, jaka byłaby reakcja innych młodych nauczycieli. Choćby na przykład tych, którzy niedawno przysłali do Redakcji list również nie zgadzający się z artykułem M. Korolkiewicz. Ale nie zgadzający się dlatego, bo autorka, według nich, zbyt pesymistycznie patrzy na postawę i stosunek do życia nauczycieli.

Wierz mi, kryjący się pod kryptonimem człowieka, że nie zdziwiłbym się ani trochę, gdyby ci właśnie nauczyciele, a podobnych jest bardzo dużo, podarli na strzępy swój patent wychowawcy i wykluczili ze swojej jakże ofiarnej społeczności. I nie byłaby to wprawdzie najodpowiedniejsza forma dyskusji czy przekonania, ale najoczywistszy dowód, że nie masz prawa występować w ten właśnie sposób w imieniu „ogółu nauczycieli”.

I od tego chyba trzeba zacząć odpowiedź „Szczeremu”. Człowiekowi, na którego nie wolno machnąć ręką, i który — wierzę — stojąc na skraju rowu, może się jeszcze wycofać przed upadkiem.

A w ogóle, jak to się stało, że tego rodzaju typ „nauczyciela” urósł w naszych warunkach? Kłamiąc — uczył się socjalistycznej pedagogiki, kłamiąc — uczy dziś dzieci socjalistycznego współzycia.

Okropna rzecz: życie — kłamstwo, życie — podwójna buchalteria obłudy i strachu przed własnym zdaniem. I nie znalazł się nikt, kto by w jakiś sposób wyciągnął go z fałszu, rozbił podwójną buchalterię nawet poprzez najbardziej prymitywną radę: daj spokój nauczaniu, idź sprzedawać śledzie, tam przynajmniej będziesz w zgodzie z własnym sumieniem.

³ Przeciętne, miesięczne wynagrodzenie w kwietniu 1956 r. wynosiło 1005 zł, natomiast najniższe od I IV — 500 zł. 1 kg chleba kosztował 3 zł, kielbasy zwyczajnej 26 zł, masła 55 zł, garnitur męski z welny 2250 zł.

W jakim środowisku ten człowiek przebywał? Pisząc w swym liście o „zdrowych argumentach chłopów”, którym wierzy, nie wiadomo jakich chłopów ma na myśli. Bo chyba nie tę ogromną, przygniatającą większość, która cepami i widłami broniłaby się, gdyby — co jest zresztą niemożliwe — wrócił dawny dziedzic, pruski junkier i zażądał zwrotu nadanej im ziemi. Broniłaby ustroju, w którym żyje dzisiaj.

I chyba jeszcze nie rozumie on, albo nie chce zrozumieć mechanizmu naszych stosunków społecznych. Stosunków, w których każdy człowiek, jeśli jeszcze nie jest, to będzie rzeczywistym współgospodarzem kraju. Nie tylko na papierze, w artykułach gazet, nie tylko w słowach propagandy i nie tylko w pięknych hasłach.

Jasne jest, że jeśli ograniczy się do roli bezwolnego kółka, przechodzić będzie obojętnie obok różnicy w tym, „co się mówi, a co się robi” — jak pisze „Szczery” — współgospodarzem nie jest. Od każdego bowiem zależy usunięcie zła, każdy jest odpowiedzialny za wcielanie w codzienne życie pięknych haseł socjalizmu.

A że różnice między teorią i praktyką jeszcze występują, to chyba też oczywiste. Socjalizm przecież budują ludzie. Różni ludzie: ofiarni i despoty, z różnymi nawykami i z różnymi „przebiegami”. Na swój sposób komentujący politykę partii i czasem nieświadomie ją wykorzystujący. Nawet w Wydziale Oświaty i nawet w Komitecie Powiatowym. Czy to znaczy jednak, że nie można ich przekonać, zmienić, a nawet — już w ostateczności — usunąć za tłumienie krytyki, za przeszkadzanie w powstawaniu atmosfery prawdziwej szczerości, twórczej atmosfery?

Autor listu boi się jednak wystąpić otwarcie ze swoim zdaniem, boi się krytykować. Być może uważa, że krytyka pociągnie za sobą adnotacje w ankiecie personalnej, że przypnie mu ktoś etykietę „rozrabiacza” czy „wroga ludu”. No cóż, może się jeszcze zdarzyć nadgorliwiec, który w ten sposób pojmie szczerść. Ale przeciw takiemu nadgorliwcowi z całym swoim autorytetem i z całą surowością wystąpi nasza partia, której sprawa jak najpełniejszej demokratyzacji życia społecznego, demokratyzacji rozumianej jako współgospodarzenie budującym socjalizm krajem — jest szczególnie droga.

A na koniec jeszcze jedna odpowiedź. Nie wiem, dlaczego „Szczery” porównuje swoje zarobki z zarobkami instruktora KP. W tym właśnie wypadku jest to sprawa zupełnie nieporównywalna. Za pracę pełną obłudy nawet 660 złotych, to o wiele za dużo. A za pracę instruktora KP — znam takich, których żona widzi raz na tydzień — 1250 złotych, to o wiele za mało. A z drugiej strony, tu już nie chodzi o „Szczerego”, obecna przeciętna płaca nauczycielska w naszym województwie wraz ze wszystkimi dodatkami waha się w granicach około tysiąca złotych. To na pewno nie jest wiele i na pewno słuszne są postulaty nauczycieli domagających się podwyższenia plac, nad czym zresztą debatuje nasz Sejm. Ale po co i ten fakt obłudnie przekręcać?

5.

15 maja — Edward Martuszewski¹, „Wobec Akcji W” — Warmia i Mazury, nr 3.

Oto wzgórze nad rzeczką Młynówką skąd jak głosi legenda — cesarz Francuzów w 1807 roku kierował bitwą pod Pruską Iławą... Teraz oglądam tu stary, zaniedbany cmentarz ewangelicki. Na jego skraju w ostatnich latach pojawiło się kilka masywnych

¹ Edward Zbigniew Martuszewski (ur. 14 III 1921 r.), kierownik Powiatowego Domu Kultury w Ostródzie, współpracownik prasy olsztyńskiej.

krzyży. Wymalowano na nich lub wryto cyrylicą napisy „zjes pokoitsa prach raba bozewo...”, albo: „upokoj gospodi raba twojowo...”

A więc jest to cmentarz greckokatolicki. Służy nowemu środowisku ludzi, którzy przybyli na te najbardziej północne ziemie naszego województwa w 1947 roku, nie z własnej woli, ale z tak zwanej „akcji W”. Przybyli z przemyskiego, lubaczowskiego, hrubieszowskiego, z okolic Białej Podlaskiej. Dziś stanowią 42 procent ludności powiatu.

Jeśli niektórzy przesiedleńcy z nad Sanu przywieźli z sobą ukryte w workach z mąką rewolwery, które stanowiły uprzednio uzbrojenie nacjonalistyczno-ukraińskich band UPA, jeśli władze bezpieczeństwa odkryły w powiecie iławeckim pewną ilość osób, które w swoim czasie brały udział w walkach przeciwko Polsce Ludowej albo też pomagały bandom leśnym — to prawdą jest również, że w nowym miejscu zamieszkania, ludność ukraińska (względnie mieszana — polsko-ukraińska) nie przejawiała w swej masie żadnej wrogiej działalności. Więcej — starała się ukryć swoje pochodzenie. A przecież „ludzi z akcji W” traktowano w przeszłości jak obywateli niższej kategorii. Lista przykrości, szykan, a nawet krzywd jest długa...

Funkcjonariusz MO w Kandytach, K...ski² mawiał przed laty do miejscowego nauczyciela: „cuchniesz mi Ukraińcem...”. W ubiegłym roku ten sam K...ski skazany został przez kolegium orzekające na 1000 złotych grzywny za obelżywe wyrażanie się o Ukraińcach.

Ale osiem, pięć lat temu nikt jeszcze za tego rodzaju postępkę nie był karany grzywną.

Dziś K...ski nie jest milicjantem, dziś w Gładach nie ma już nauczyciela K...ka³, który nie krył się ze swym polskim nacjonalizmem i dobrze „zalewał sadła za skórę” ukraińskim dzieciom. Dziś jednak trzeba jeszcze prosić księgowego z PGR Tolki — Pikulickiego, by poprowadził amatorski chór ukraiński w pobliskim Rodnowie, byli bowiem dawniej „niezadowoleni” z tego, że włączał do repertuaru również pieśni ukraińskie.

W Górowie Iławeckim oraz w sąsiednim Braniewie jesteśmy już formalnie rzecz biorąc — po przełomie. Stały się nim powiatowe narady ludności ukraińskiej. Akcję zainicjowało Braniewo. 12 kwietnia urządzono taką również naradę w Górowie Iławeckim. W dyskusji wzięły udział 32 osoby.

Na naradzie sprawa postawiona została jasno i otwarcie: przesiedlenie było konieczne, tak ze względu na potrzebę stłumienia działalności band UPA, jak też dla ochrony życia i mienia ludności cywilnej, zagrożonej przez działania wojskowe. Do opustoszałych wiosek w lubelskim i rzeszowskim przybyli nowi osadnicy, powstały tam liczne PGR i spółdzielnie produkcyjne. W tej sytuacji możliwy jest powrót tylko jednostek.

Zwolennicy masowego powrotu argumentują w tym miejscu, że zostawili tam niedawno zbudowane domy, podczas gdy tu cieknie im na głowę, tam mają lepszą ziemię, a tu nawet klimat im nie służy. Racje te mają swoją wagę, ale również w odniesieniu tylko do jednostek.

Nie ulega wątpliwości, że gospodarstwa ukraińskie w powiecie iławeckim często były zaniedbane. Powody tego stanu rzeczy są jednak dwojakie. Bywało, że osadnik myśląc tylko o powrocie, nie łątał dziury w dachu, gdy spadła jedna dachówka, a teraz narzeka, że nie może dostać materiału budowlanego na remont połowy dachu. Bywało jednak również i tak, że kilka, a nawet kilkanaście rodzin umieszczano w zabudowaniach dużego

² W tekście pełne brzmienie nazwiska.

³ W tekście pełne brzmienie nazwiska.

folwarku. To znów brakowało budynków gospodarczych. W Gładach na przykład chłopci muszą magazynować słomę we wspólnych stodołach odległych od gospodarstwa o parę kilometrów. Jeden z gospodarzy, Łobacz, w drewnitni trzyma świnie. Nic więc dziwnego, że z 13 prosiaków ostatnią ciężką zimę przetrzymał tylko jeden. Z powodu braku pomieszczeń zmarzło mu dziesięć kwintali ziemniaków, nie ma gdzie magazynować zbiorów lnu. „Człowiek by jeszcze raz tyle zrobił, byleby było gdzie trzymać” — powiada Łobacz, właściciel dwu koni, siedmiu krów, kilku owiec, dwu świń i sporego stadka drobiu.

„Zmiana kursu” w stosunku do ludności ukraińskiej w północnych powiatach naszego województwa rozpoczęła się już w roku ubiegłym. W kilku szkołach powiatu iławckiego — w Wojciechach, Toprynach, Grotowie, Plutach, Rodnowie, Dębach — wprowadzono naukę języka ukraińskiego jako jednego z przedmiotów. Zatrószczono się o sprowadzenie i rozprowadzenie książek i pism w języku ukraińskim. Tak na przykład w Rodnowie chłopci prenumerują 9 egzemplarzy takich pism jak „Młodzież Ukrainy”, „Zirka”, „Pionieria”. Istnieją już cztery ukraińskie zespoły artystyczne. W Rodnowie pod kierownictwem Jana Hładasza powstaje chór i zespół dramatyczny, do programu akademii pierwszomajowej włączono tam również wiersze poetów ukraińskich o języku ojczystym.

Rozwój ukraińskiego życia kulturalnego nie posiada w powiecie iławckim cech separatyzmu narodowościowego. Dobrze, że tworzą się zespoły złożone z Polaków i Ukraińców, śpiewające piosenki ukraińskie i polskie. Wydział Oświaty powinien iść jak najbardziej na rękę życzeniom ludności ukraińskiej w sprawie wprowadzania języka ukraińskiego do szkół we wsiach o dużym odsetku ludności ukraińskiej. Wszystko to jest ważne, bo sprzyja serdecznemu, życzliwemu współżyciu obu grup narodowych, pomaga zwalczać tego rodzaju epitety jak „ty ukraiński bandyto”.

Ale na tym nie można poprzestać. Ludność ukraińska w powiecie iławckim poszczycić się może już obecnie wieloma dobrymi gospodarzami: Hasiuk z Topryn, Sokołowski z Kiwajn, Przytuła z Pareszek, Kaciuk z Kumowa i wielu jeszcze innych postawiło swe gospodarstwa na wysokim poziomie. Proces wrastania w nową ziemię już się rozpoczął i jest wyraźnie widoczny. Oto w Rodnowie dwu chłopów uzyskało zezwolenie na wyjazd w swe strony ojczyste po to, aby sprowadzić od krewnych pozostawione niegdyś na przechowanie pasieki. Grzegorz Daćko postanowił pobudować chlew i stodołę, a decyzję tę powziął po odwiedzeniu krewnych w Lubelskiem. Nawiasem warto dodać, że zniesienie zakazu wyjazdów na opuszczone tereny w celach „towarzysko-krewniackich” było posunięciem słusznym, bo tęsknota za stronami rodzinnymi często upiększała to co było i pomniejszała wartość tego, co się otrzymało.

Należy więc kontynuować akcję kulturalną i propagandowo-uświadamiającą, ale trzeba też większy nacisk położyć na likwidację niedbalstw administracyjnych, na uporządkowanie zagadnień własnościowych, ku jak największemu zadowoleniu osadników. Należy też przyjąć im z pomocą gospodarczą, umożliwiając remonty i inwestycje budowlane w pierwszym rzędzie.

W powiecie iławckim tkwią jeszcze wielkie, ukryte rezerwy gospodarcze. Nie będzie można ich wydobyć, jeśli nie pozyska się dla tej sprawy ludności ukraińskiej, stanowiącej blisko połowę ludności powiatu.

6.

15 maja — Zbigniew Nowacki, „*Taniec Świętego Wita, czyli o »cudzie« na Stalingradzkiej*”¹ — *Głos Olsztyński*, nr 115.

Niesamowita opowieść biegnie przez miasto. Idzie od sklepu do fryzjera, od 9-letniego brzdąca do 70-letniej paniusi. Wykrzywia zgrozą twarze opowiadających. Z wielu spokojnych ludzi czyni przerażonych histeryków, a fanatykom wierzącym w cuda zapala w oczach ogień, ten sam chyba, który przed wiekami spalał w czasie bożych sądów na stosach tysiące niewinnych.

Zwykły szary człowiek słysząc tę niesamowitą opowieść właściwie nie wie w co i komu wierzyć. I chociaż za bzdurę uważa większą część zasłyszanych historii, gdzieś tam często podświadomie myśli, że w tej całej sprawie jakaś część prawdy jest. Gdy rozmawiałem o „cudzie na Stalingradzkiej” z różnymi ludźmi, takie właśnie odniosłem wrażenie.

A więc zapoznajmy się najpierw z prawdą. Prawda, jak zawsze, nie jest ani tajemnicza, ani nie ma w niej nic z mocy nadprzyrodzonych. Oto ona:

Przed kilku tygodniami, w niedzielę, zebrało się w Olsztynie na ulicy Stalingradzkiej, w prywatnym mieszkaniu, mniej czy też więcej dobrane towarzystwo. Mężczyźni i kobiety. Było między nimi i kilku muzyków, w mieszkaniu znalazł się też spory zapas wódki. Cel więc owego zgromadzenia mamy już wiadomy: zabawa, czy też jak kto chce „prywatka” obficie zakrapiana alkoholem.

Kieliszki napelniano niezwykle szybko i sprawnie, muzycy grali, pary coraz chwiejniejszym krokiem w rytmie mandoliny przemierzały pokój. Nie obyło się też bez alkoholowych awantur. Ktoś się z kimś pokłócił, ktoś komuś chciał dać po buzi, odmówił następnego tanga.

Tak właśnie „na lodzie” została panna Janina. Kompletnie zalana, awanturując się wstała z krzesła. Na środku pokoju nogi odmówiły posłuszeństwa. Robiąc zawiłe łamańce runęła na podłogę. Towarzystwo się zbiegło. Podniesiono pannę Janinę, ułożono na jakiejś kanapie, potem znów wybuchła awantura. I jeszcze wypito dwa albo trzy litry wody — strzemiennego. I z niesmakiem ruszono do domu.

Tyle o prawdzie. Tyle wyłowilem z ust uczestników owej „prywatki”, którzy — jako że wtedy porządnie byli zamroczeni — przypominają sobie tylko najważniejsze momenty. Kto więc dorobił „cudowne” szczegóły i szczególiki? Komu zależało na tym, żeby ze zwykłej awantury i ze zwykłego pijaństwa zrobić miejsce „cudu”? Kto z takim uporem podtrzymuje plotki i puszcza je na całe miasto, przenosi do miasteczek i wsi w województwie?

Tydzień przed ową historią mówiono już o cudzie. I co ciekawe: niektóre szczegóły już wtedy zgadzały się z plotkami, które potem poszły w ruch w związku z „ulicą Stalingradzką”. W takim np. barze mlecznym przy ul. Partyzantów, wtedy gdy uczestnikom „zabawy” i pannie Janinie nie śniło się jeszcze o prywatce, jakaś starsza niewiasta zgromadziła wokół siebie grupę pijących mleko i nerwowym szeptem opowiadała o „karze bożej, która spadła na młodą, bezbożną dziewczynę: dziewczyna skamieniała i nawet sam biskup nie potrafił przywrócić jej życia”.

A więc ta sama wersja, ta sama plotka, która dziś obiega miasto. Oto w skrócie ona: (Podaję wszystkie najjaskrawsze szczegóły tak, żebyście Wy sami, Czytelnicy, jeśli za kilka

¹ *Stalingradzka, jedna z najdłuższych ówczesnie (około 3 km) ulic Olsztyna, dziś nosi nazwę Jagiellońskiej.*

dni powtórzy Wam ktoś jeszcze tę plotkę, mogli przekonać się, ile do niej dodano i jak codziennie czyjeś usta tworzą wciąż inne i wciąż pikantniejsze szczegóły).

W czasie zabawy na Stalingradzkiej młoda ZMP-ówka² opuszczona przez swego partnera miała zdjąć ze ściany krzyż i rozpocząć taniec z krzyżem. I wtedy stał się cud, kara, znak niebieski — czy jak tam kto chce. Zetempówka zamieniła się nagle w kamienny blok, a blok wrócić miał w ziemię. Próbowano ten kamień ruszyć z miejsca. Nic nie wyszło, tylko krew pociekła. Taka dziwna krew, która ani rusz do dzisiaj nie chce wyschnąć.

Wtedy zawołano biskupa, przyszło także wielu księży. Robili co mogli, ale blok pozostał blokiem. Wtedy przyszło UB. Rębało blok, ruszyć go z miejsca chciało, ale też nic nie wyszło. I krew i blok do dziś stoją. Nic tylko urządzać pielgrzymki. Gdzie? Tu stugębna plotka podaje naiwnym niezliczoną liczbę adresów: na Stalingradzką, na Partyzantów, na Zatorze i na Wyzwolenia... Słowem cud z krzyżem i kamieniem jest do oglądania wszędzie. Tylko — kto go widział?

Moich znajomych na Stalingradzkiej i innych znajomych na Wyzwolenia już kilkakrotnie nagabywali ludzie: panie, gdzie tu jest ten cud, pokaż pan. A moi znajomi, ludzie mieszkający w Olsztynie od dziesięciu lat i to tacy, którzy dokładnie wiedzą co w ich dzielnicy na obiad gotuje Michalska z trzeciej ulicy, nie potrafili dać odpowiedzi.

Historie z cudami, to zresztą wcale nie nowa praktyka i wcale nie nowy pomysł pewnej ściśle określonej grupy ludzi. Zanim powiem, kim oni są i jakie cele przyświecają im w fabrykowaniu cudów, warto przypomnieć sobie „cud lubelski”³, który wielu naiwnym zamącił w głowie i który nie inne, jak polityczne miał cele. Jak wiadomo, cud ten był zwykłym oszustwem. Podobny cud w ub. roku „przeżyła” Warszawa. Podobne cuda w niektórych okresach powtarzają się w wielu miastach i wsiach.

Sieją one zamieszanie i drogą bardzo perfidnych środków, bo zerowania na naiwności niektórych ludzi na ich słabej znajomości zjawisk fizycznych chcą odwrócić tych ludzi od rozsądnego i trzeźwego udziału w naszym budownictwie. Chcą wywołać atmosferę paniki, atmosferę tego, że naszym życiem kierujemy nie my, a jakieś nadprzyrodzone moce.

Powiedzmy sobie otwarcie — o co chodzi w „cudzie na ulicy Stalingradzkiej”. Niektórym grupom ludzi nie podoba się świeckie wychowanie młodzieży. Nie podoba się, że w szkołach TPD⁴ przed lekcjami nie odmawia się modlitwy, że za zgodą rodziców nie ma lekcji religii. A są za to w szkołach lekcje, które wyjaśniają prawa natury, budowę wszechświata, pochodzenie gatunków — uczą naukowej prawdy o świecie.

I chociaż nikt nie zabrania nikomu modlić się do Chrystusa czy nawet do Buddy — są ludzie, którzy chcą postawić tamę materialistycznej nauce. Drogą perfidnej, moralnej

2 ZMP — Związek Młodzieży Polskiej.

3 Modląca się w lipcu 1949 r. w lubelskiej katedrze szarytka miała na obrazie Matki Boskiej zobaczyć „czerwoną kropkę wielkości jagódki”. Wieść o „placzącym obrazie Matki Boskiej” rozeszła się po całej Polsce. Biskup lubelski Piotr Kalwa uznał, iż nie ma podstaw by zdarzenie było „cudowne lub nadprzyrodzone”. W związku z „cudem lubelskim” wojskowy prokurator rejonowy w Olsztynie w sprawozdaniu za lipiec 1949 r. pisał: „i na terenie województwa olsztyńskiego zaobserwowano, prócz normalnych w takich razach plotek, także i zorganizowaną akcję. — — plotki na temat cudu lubelskiego były zaprawione posmakiem politycznym: naoczni rzekomo świadkowie mieli stwierdzić, iż pod katedrą lubelską leżą kupy broni porzuconej przez nagle nawróconych milicjantów i funkcjonariuszy UB, którzy uciekli ze służby — —. W jednym wypadku wyrażanej złej woli w rozpowszechnianiu fałszywych wieści o cudzie lubelskim zastosowałem sankcję na areszt tymczasowy w stosunku do proboszcza parafii Łyna, pow. Nidzica ks. [Rudolfa] Jaworskiego”, który w kazaniu stwierdził, iż cud w Lublinie miał rzeczywiście miejsce, a biskup zaprzeczył temu jedynie na rozkaz władz państwowych (Archiwum Pomorskiego Okręgu Wojskowego, Wojskowa Prokuratura Rejonowa w Olsztynie, sygn. 1795/17, k. 192—193).

4 TPD — Towarzystwo Przyjaciół Dzieci, firmowało szkoły świeckie.

presji — plotki usiłują zastraszyć naiwnych, chwiejnych czy też po prostu mało wiedzących o świecie. „Patrzcie — mówi i porównuje plotka — tam, na Stalingradzkiej młoda kobieta zdjęła krzyż — Bóg ją skarał i zamienił w kamień. I was to czeka, jeśli ośmielicie się po świecku patrzeć na świat”.

Ta plotka miała zresztą szczególne oparcie i szczególne drożdże ją rozwijały. Potrzebna była tym, dla których każda metoda jest dobra, byle kijem zawrócić bieg Wisły. A jak wiadomo, możliwe to nie jest⁵.

7.

9 czerwca — Zbigniew Nowacki, „Ludzie z akcji »W«” — Rzeczywistość, nr 11.

Fałszywe okazało się stare przysłowie „o milczeniu, które jest złotem”. Codzienne życie udowadnia jego bankructwo. Milczeliśmy długo o ludziach — Ukraińcach, którzy w ramach tzw. akcji „W” znaleźli się w Olsztyńskim i dziś wielu z nich może mieć uzasadnione żale i pretensje, a niektórzy — poczucie krzywdy.

Sprawa jest i bolesna i często, gdy chodzi o różne jednostki, bardzo zagmatwana. W roku 1947 na mocy uchwały Rządu przesiedlona została przymusowo z województw południowych na Ziemię Odzyskane cała znajdująca się w Polsce ludność ukraińska. Przesiedleni, w zamian za pozostawione gospodarstwa, otrzymywali zagrody poniemieckie, a po pewnym czasie dowody własności swych nowych gospodarstw. Stare gospodarstwa stawały się własnością państwa, które z kolei przekazywało je PGR-om, spółdzielniom czy też chłopom indywidualnym. Przesiedleni Ukraińcy nie mieli prawa powrotu do swych dawnych wsi.

Tak w skrócie wyglądał mechanizm akcji „W”. A jej powody?

W roku 1945, mimo że wojna zakończyła się kapitulacją Niemiec, nasz kraj w dalszym ciągu sphywał krwią. Zbrojne podziemie usiłowało w krwawy sposób paraliżować reformy społeczne, zwalczać nowy ustrój ludowy. Szczególnie ciężka sytuacja zapanowała w Polsce południowej, na terenach zamieszkałych przez mniejszość ukraińską. Całe wsie przyłączały się niejednokrotnie do nacjonalistycznych band terrorystyczno-rabunkowych UPA, całe wsie wspomagały bandy, tworząc doskonale zaplecze dla ich działalności.

* * *

A teren Podkarpacia, jak żaden inny, nadawał się dla operacji band. Góry i gęste lasy. Mała ilość dróg, łatwa do przejścia granica słowacka, duże zapasy broni i amunicji celowo pozostawionej przez Niemców. Pewna liczba doskonale w dywersji wyszkolonych instruktorów i przywódców. Toteż przeszło dwa lata, przy użyciu poważnych sił, trwała likwidacja zbrojnych band.

Nielatwa likwidacja. Bywało, że już opanowany teren i pozostawiony gdzieś na tyłach nagle stawał się znów zbrojną twierdzą i pociągał setki, tysiące ofiar. Miary dopełnił napad i zamordowanie generała Świerczewskiego. Wówczas cały kraj, całe społeczeństwo domagać się zaczęło radykalnego i ostatecznego zakończenia likwidacji band, ukarania ludzi, którzy je wspomagali i którzy stanowili aktywne ich zaplecze. Pod naciskiem opinii publicznej Rząd wydał dekret o przesiedleniu. Rozpoczęła się akcja „W”.

⁵ O echach ogólnopolskich „cudu na Stalingradzkiej”, por. D. Jarosz, M. Pasztor, „W krzywym zwierciadle. Polityka władz komunistycznych w Polsce w świetle plotek i pogłosek z lat 1949–1956”, Warszawa 1995, ss. 155.

Trzeba sobie powiedzieć: to była akcja o charakterze policyjnym. W stosunku do mniejszości ukraińskiej zastosowano odpowiedzialność zbiorową. Odpowiedzialność polegającą na pozbawieniu Ukraińców niektórych swobód obywatelskich (przymusowe wysiedlenie, zakaz powrotu). W dalszym ciągu jednak ludność ukraińska posiadała wszystkie inne prawa i obowiązki obywatela państwa ludowego.

Tu jednak zaczyna się początek różnego rodzaju nieporozumień, niedomówień i często ludzkich tragedii.

* * *

Najpierw samo wysiedlenie. Dekret Rządu stwierdzał, że powinno ono przebiegać spokojnie, bez jakichkolwiek form ucisku. W praktyce niejednokrotnie bywało inaczej. W praktyce zdarzały się czasem i rabunki wysiedlanych, i traktowanie ich jak zdecydowanych przestępców. Do tego drugiego szczególnie łatwo w tym okresie dochodziło. Przesiedlenie przeprowadzał KBW¹, żołnierze, których koledzy zginęli w okrutny nieraz sposób z ręki band. Pamięć krzywd była więc bardzo świeża.

Wysiedlenie objęło więc wszystkich Ukraińców. Nawet tych, co do których nie było wątpliwości, że żadnych kontaktów z bandą nie posiadali. I tu mała dygresja:

Młoda Ukrainko z Lelkowa! Pytałaś mnie w czasie naszej długiej rozmowy, za co zrobiono tak wielką krzywdę Twojej rodzinie. Nikt nigdy w okolicy Chełma, gdzie do 1947 roku mieszkałaś, o żadnej bandzie nie słyszał. Pewnego marcowego dnia przyszło wojsko i Was wszystkich — trzy ukraińskie rodziny, w ciągu 24 godzin załadowano do wagonów.

Konwojujący żołnierze mówili, że jedziecie do Uzbekistanu. Przyjechaliście w Olsztyńskie. Tu umarła Wasza matka, ojca zabiła wilgoć, a Ciebie zniechęca praca bez wyników. Chcecie wrócić.

Pytałaś — za co to wszystko?

Temu wszystkiemu na imię: odpowiedzialność zbiorowa. Dziś, z perspektywy 9 lat wydaje nam się to nieludzką, okrutną karą. Karą, której nie można uznać, ale którą trzeba zrozumieć. W roku 1947 doświadczyliśmy tylu bolesnych przeżyć z powodu Ukraińców-nacjonalistów i taka wokół tych doświadczeń wyrosła atmosfera wśród społeczeństwa, że w każdym Ukraińcu społeczeństwo widziało potencjalnego wroga. — Jeśli teraz siedzi spokojnie — mówiono w roku 1947 — to wystarczy się tylko odwrócić, żeby poszedł do bandy. Że tak najczęściej nie było, że do spokojnej większości ludzi należało wcale niemało Ukraińców, to dostrzegliśmy już po zastosowaniu owej zbiorowej odpowiedzialności, której skutki tak fatalnie dają o sobie znać i dzisiaj.

* * *

I jeszcze: mówiąc o roku 1947, roku przesiedlania Ukraińców, nie można zapominać, że jego atmosfera, jak i atmosfera powstawania i działalności band UPA nie zaistniała nagle, w ciągu jednego miesiąca czy roku. By ją zrozumieć, trzeba się cofnąć nawet do... drugiej połowy XIX wieku, do stosunków w b. zaborze austriackim.

Austriaccy zaborcy chcąc utrzymać swe rozległe tereny zastosowali niezwykle perfidną politykę narodowościową. Dziel i rządź — głosiła naczelna zasada tej polityki. Zaczęto więc podjudzać Ukraińców, głoszone, ogłoszone, za głównym ich wrogiem są Polacy,

¹ KBW — Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

tolerowano krwawe niekiedy zajścia, a jednocześnie Polakom starano się wmówić, że powinni rozprawić się z Ukraińcami. W najspokojniejszych nieraz wioskach zamieszkałych przez obydwie narodowości, w wioskach, gdzie często były np. małżeństwa mieszane — nagle powstawały wrogie obozy, a nienawiść rozbijała rodziny, dzieliła najlepszych sąsiadów.

* * *

Po tym, po roku 1918, przyszła polityka chjeno-piasta[!] i sanacji. Polityka oparta na dyskryminacji mniejszości narodowych. Ukraińcom odmawiano prawa do opowiedzenia się za swą narodowością. Fałszowano spisy ludności i „na siłę” twierdzono, że większość Ukraińców to Polacy, wówczas gdy czuli się oni Ukraińcami. Za zbrodnię stanu uważała sanacja danie Ukraińcom jakichś większych swobód kulturalnych czy oświatowych. Natomiast w dalszym ciągu stosowała dawne „dziel i rządź”, tym razem jednak przeciwstawiano Ukraińców Żydom. Wywoływano nacjonalizm, popychano do pogromów żydowskich.

Tego rodzaju nacisk i polityka wywoływać więc musiała wśród Ukraińców naturalny odpór. Linia podziału między ludnością polską a ukraińską jeszcze bardziej się pogłębiała. Ukraińcy szukali samoobrony w nacjonalistycznych, nielegalnych organizacjach, rosła wśród nich chęć zemsty, a jednocześnie wśród pewnej części społeczeństwa polskiego, okłamywanego przez sanację i sztucznie podjudzanego — rosła niechęć do swych sąsiadów.

* * *

Po wojennym 1939 roku władza radziecka zbyt krótko pozostawała na terenach zamieszkałych przez Ukraińców, by naprawić wszystko zło[!] A poza tym część ziem z mniejszością ukraińską zajęły hitlerowskie Niemcy (Podkarpacie). Na tych ziemiach, a potem na całej Zachodniej Ukrainie hitlerowcy zastosowali jeszcze bardziej niż dotąd perfidną politykę. Całkiem oficjalnie tworzone nacjonalistyczne bandy, uprzywilejowano ludność ukraińską, wydobyto wszystkie nacjonalistyczne elementy. Popychano Ukraińców do odwetów w stosunku do Polaków. Obiecywano im stworzenie „wielkiej Ukrainy”, wmawiano, że należą do narodu „najwyższego” wśród Słowian, a jednocześnie prześladowano i tępiąco wszystkie elementy postępu, porozumienia. Hasło „dziel i rządź” w tym okresie doszło do perfekcji, a nacjonalizm ukraiński wybujał nadzwyczaj w takich np. przejawach, jak osławiona dywizja SS-Galizien, policja ukraińska itp. Wśród ludności polskiej krwawe wybryki i prześladowania przez nacjonalistów ukraińskich wywołać więc musiały zdecydowaną niechęć, która rozciągała się często na całą mniejszość ukraińską. A oto właśnie Niemcom chodziło.

Z takim to bagażem wzajemnych uprzedzeń i wzajemnych nieporozumień zaczął się powojenny rok 1945. Pisząc o historycznych przesłankach akcji „W” nie usprawiedliwiam ani bandytów z UPA, ani bandytów spod znaku polskiego nacjonalistycznego podziemia, którzy dokonali również szeregu ekscesów w stosunku do ludności ukraińskiej. Chodzi mi tylko o wykazanie, jak bardzo był sprzyjający grunt w ciągu ostatniego wieku do wywołania przedziału między dwiema narodowościami. Jak stosunki najpierw półfeudalne, a potem kapitalistyczne popychały narody do wzajemnych starć. I jak głównej przyczyny i winy szukać należy właśnie w stosunkach społecznych.

8.

14 czerwca — Lestek Orlik¹, „Komu to jest potrzebne” — Głos Olsztyński, nr 141.

Nie wiem, jak kto, ale ja, kiedy myślę o średniowieczu, widzę ludzi płonących na stosach, ćwiartowanych i łamanych kołem, umierających na miejscach kaźni i straceń, czy choćby tylko opluwanych pod pręgierzem, obrzucanych błotem, pogardą i nienawiścią. Dlaczego wyobraźnia stawia mi przed oczyma te właśnie obrazy, a nie np. błędnych rycerzy, igrzyska rycerskie czy malownicze bitwy? Dlatego chyba, że najbardziej zapadły mi w pamięci, że były najbardziej charakterystyczne dla owej epoki dogmatyzmu i nietolerancji. Symbolem władzy Kościoła, ucieleśnionej wówczas także we władzy świeckiej, był krzyż i miecz, a właściwie — krzyż i wszelkie narzędzia służące do zabijania każdej śmielszej, postępowej myśli wraz z człowiekiem, który ją zrodził. Toteż gdy myślę o średniowieczu, widzę obok obrazów niszczonego przez fanatyzm wojującego Kościoła ludzi, ponure procesje inkwizytorów, żądających krwi i majątków swych ofiar, które odważyły się myśleć, poznawać świat rozumem i doświadczeniem.

Wspominam tę zamierzchłą, bezpowrotnie minioną przeszłość, bo jej echa odzywają się jeszcze dzisiaj, bo tu i ówdzie snują się dymki stosów i pojawia się cień pręgierza, bo tu i tam rodzą się próby wykorzystania religijnego fanatyzmu przeciw tym, którzy myślą inaczej niż Kościół.

W różnych sytuacjach pojawiają się owe cienie średniowiecza i różne przybierają kształty. Słyszałem o księdzu, który z ambony piętnował człowieka za to, że ów nie wierzy w Boga. Zetknąłem się z wypadkiem, że kilka dewotek wytworzyło wokół niewierzącej dziewczyny taką atmosferę, tak ją prześladowało, że dziewczyna ta musiała przenieść się do innej miejscowości, aby móc spokojnie żyć i pracować (po spędzeniu uprzednio miesiąca w sanatorium). Słyszałem, jak przed jedną z olsztyńskich szkół kilkoro dzieci wyzywało dziesięcioletnią dziewczynkę, córkę niewierzących rodziców: „Ty Żydówko, ty świnię niechrzczona” itp. Dziewczynka ta odeszła z opuszczoną głową, nie miała siły, czy nie chciała przeciwstawić się rozwydrzonej gromadzie rówieśników. Zetknąłem się również na ulicy z takim obrazem: sześciu 10—12-letnich chłopców otoczywszy swego kolegę, domagało się: „Powtórz — »wierzę w Boga«, a jak nie to po mordzie”. Przestraszony powtórzył. Zażądali wtedy: „Przeżegnaj się”. Nie potrafił. Wówczas któryś uderzył go. Dopiero na interwencję przechodnia rozbiegli się. Na pytanie, za co go bili, ów maltretowany chłopiec powiedział: „Jak ja ich nienawidzę! Gdyby tatuś na mnie nie krzyczał, to złapałibyśmy którego i wtenczas mówiłby prędko, że nie wierzy, że Boga nie ma”.

Wystarczy! Nie ma potrzeby wyciągać więcej przykładów średniowiecznej nietolerancji, przeciwstawiania ludzi wierzących — niewierzącym, szczucia jednych na drugich. Nie o liczbę tu chodzi, a o samo zjawisko, jego ocenę, stosunek do niego.

W kraju naszym każdy obywatel ma konstytucyjnie zagwarantowaną wolność sumienia, czyli może wyznawać takie poglądy, jakie najbardziej mu odpowiadają. W kraju naszym Rząd i Partia surowo karzą wszelkie wyskoki przeciw religii, przeciw ludziom wierzącym.

Mówimy wam: my, komuniści, dążymy do tego, aby zapanował naukowy pogląd na świat, prowadzimy pracę wychowawczą zmierzającą do przekształcenia świadomości ludzi, ale zdecydowanie odrzucamy w tej mierze wszelkie środki administracyjnego

¹ Lestek Orlik, pseudonim Leszka Jucewicza, redaktora naczelnego „Głosu Olsztyńskiego”.

nacisku, moralnego terroru, dyskryminacji, piętnowania. I inaczej być nie może — ideologia nasza jest ideologią najbardziej humanistyczną ze wszystkich ideologii, najpełniej służącą człowiekowi, jego dobru.

Ale jeśli niektórzy ludzie wierzący, najczęściej ogłupieni przez reakcyjnych księży, fanatycy, usiłują wywierać moralną presję na ludzi niewierzących — w takich wypadkach żaden komunista, ba! żaden uczciwy obywatel Polski Ludowej nie powinien zajmować biernego stanowiska. I dlatego, że owa średniowieczna nietolerancja jest obca prawdziwie humanistycznym zasadom naszego życia i dlatego, że ma na celu wrogie narodowi zamierzenia — rozbijanie jego jedności.

Sprawami tymi stanowczo za mało interesują się organizacje partyjne, wykazując często całkowitą bierność. Sprawami tymi nie interesują się w ogóle organizacje społeczne, obowiązkiem których jest przecież umacnianie jedności społeczeństwa na płaszczyźnie walki o pokój i socjalizm, na płaszczyźnie przyjętej przez niewierzących i wierzących.

Rozmawiałem niedawno z jednym aktywistą wiejskim, człowiekiem niewierzącym, który powiedział z goryczą: „Jeślibym ja wyzywał wierzącego dlatego, że wierzy — przyjeżdżałoby na pewno wiele różnych komisji, prawdopodobnie sprawa oparłaby się o sąd. Ale jeśli mnie czy moje dzieci jakaś dewotka wyzywa, wyzywa dlatego, że jestem niewierzący — to wówczas nawet pies z kulawą nogą nie zatroszczy się”.

Czy można nad tymi słowami przejść obojętnie? Czy można obojętnie przechodzić obok wypadków piętnowania z ambon ludzi niewierzących, rozniecania przeciw nim niechęci i wrogości? Nie, w żadnym wypadku. Tak samo jak nie wolno nam przechodzić obojętnie wobec wypadków wyskoków przeciw ludziom wierzącym. W naszym życiu nie ma miejsca na średniowieczne praktyki, i słusznie jesteśmy z tego dumni. Ale samą dumą niewiele się zbuduje. Trzeba walczyć, walczyć zdecydowanie z cieniami pręgierzy, echami wyklinań, z tępyim fanatyzmem i próbami nagonki na niewierzących.

Spodziewam się, że niejeden z czytelników zabierze głos w tych sprawach.

PS. Szczególnie oburzenie budzi dający się tu i ówdzie odczuć dyskryminujący stosunek do dzieci niewierzących rodziców, wyzwiska i szykany, na jakie te dzieci napotyka. Pomyślcie, wierzące matki: jak wychowujecie swe dzieci? Czego swe dzieci uczycie? Na kogo one wyrosną? Zaszczepianie dzieciom fanatyzmu i nietolerancyjności musi przecież przynieść im tylko złe skutki, wyrządzić im krzywdę. Zastanówcie się, komu to jest potrzebne?

9.

16 czerwca — Stanisław Zagórski¹, „Legitymacja partyjna i różaniec”
— *Rzeczywistość*, nr 12.

Cóż za zestaw słów, skąd to szokujące skojarzenie dwóch przeciwstawnych, wykluczających się wzajemnie pojęć? Chwileczkę cierpliwości. Oddajmy głos faktom.

Kilka dni temu zaszedłem do mieszkania jednego z członków KP w Nidzicy. Przypadkowo trafiłem do pokoju, przeznaczonego tylko na wyłączny użytek domowników. Na stole stała pokaźnych rozmiarów gipsowa figurka Matki Boskiej. Gospodarz był wyraźnie zaskoczony moją wizytą. Szybko poprosił mnie do drugiego pokoju. Gdy po chwili znalazłem się ponownie w owym pomieszczeniu, nie było tam już wspomnianej gipsowej figurki. Obłuda i zakłamanie — powie ktoś. Dwulicowość. Zgoda. Ale nie

¹ Stanisław Zagórski, dziennikarz działu partyjnego „Głosu Olsztyńskiego”.

wystarczy rzucić te oskarżające słowa. Trzeba znaleźć przyczyny, które powodują, że niektórzy członkowie partii, niektórzy aktywiści partyjni postępują właśnie w ten sposób.

Rozmawiałem kiedyś na ten temat z jednym z sekretarzy KP.

— U nas, towarzyszu, takich przykładów jest bardzo wiele. Rozpatrywaliśmy niedawno sprawę naszego instruktora, tow. E. Parę tygodni temu wziął on potajemnie ślub kościelny. Gdy zapytaliśmy go, dlaczego, oburzył się: „Cóż w tym złego, przecież nikt nie widział”. Są również tacy, którzy otwarcie oświadczają, że religia, to dla członków partii „sprawa prywatna”. Bo Konstytucja gwarantuje wolność sumienia i wyznania, a więc wolno nam — członkom partii, wykonywać swobodnie wszystkie praktyki religijne, nosić różaniec i legitymację partyjną.

Co gorsza — twierdził na zakończenie sekretarz — my w tych sprawach znajdujemy się w defensywie. Zaryzykowałbym twierdzenie, że obecna propaganda ateistyczna jest słabsza niż była kilka lat temu.

Przeglądałem ostatnie listy do Redakcji. Wielu towarzyszy porusza właśnie ten ważny, nabrzmiały, palący problem. Jaki powinien być stosunek członków partii do religii? — Oto pytanie, które ciągnie się jak nić przewodnia przez wiele listów czytelników.

Oto niektóre przykłady: W czasie dyskusji na szkoleniu partyjnym w Fabryce Mebli w Szczytnie, niektórzy towarzysze byli zdania, że „religia, to sprawa prywatna każdego członka partii”. Wyciągnięto z tego wniosek, że każdy członek partii ma pełne prawo i powinien chodzić do kościoła oraz wykonywać wszelkie praktyki religijne. Jeden z towarzyszy z ławy pisze o dwóch pracownikach aparatu ZMP, którzy niedawno temu wyjechali do pobliskiej wsi, by tam, w ustroniu, zdala od znajomych osób, wziąć ślub kościelny.

W innym liście czytamy o działaczach partyjnych z Giżycka (mowa o „grubych rybach” — wiceprzewodniczącym PRN, członku egzekutywy KP, pracownikach aparatu partyjnego), którzy godzą się na to, by ich dzieci były wychowywane w duchu idealistycznego światopoglądu. Kierownik wydziału organizacyjnego KP w Działdowie ochrzcił swe dziecko w kościele. W innej miejscowości znany działacz partyjny potajemnie ucześnie do kościoła...

Przykłady sypią się jak z rękawa. „W tegorocznych uroczystościach kościelnych — czytamy w wyjątku z jednego protokołu egzekutywy KP — brało udział bardzo wielu aktywistów partyjnych, członków instancji, kierowników gospodarczych, wykładowców szkolenia partyjnego, nauczycieli i prelegentów. Kler rozpoczął gwałtowny ideowy atak na szereg partyjne. Obserwuje się różnego rodzaju formy nacisku na niewierzących członków partii”.

A oto charakterystyczny obrazek z życia rodzinnego:

— Tatusiu, dlaczego nie wolno mówić, że tata chodzi do kościoła? Czemu mamy się z tym ukrywać?

— Widzisz, synku, twój tatuś jest działaczem partyjnym, to jest komunistą i takim człowiekiem, któremu wolno chodzić do kościoła, ale tak, by go nikt nie widział.

Zaiste, trudno o bardziej perfidny i zakłamany sposób myślenia. Nawiasem mówiąc, tego rodzaju postawa została usankcjonowana i zalegalizowana przez krótkowzrocznych działaczy niższych i wyższych szczebli.

Ramy tego artykułu nie pozwalają na szczegółowe omówienie przyczyn, które spowodowały właśnie ten a nie inny stosunek pewnej części aktywu partyjnego do religii,

nie pozwalają na wydobycie całego splotu przyczyn wytwarzających taką sytuację. Nie od rzeczy jednak będzie przypomnieć początki naszej partyjnej propagandy ateistycznej.

W wielu wypadkach kładziono u nas nacisk na to, że członek partii nie powinien, nie może chodzić do kościoła. Niejednokrotnie wyśmiewano wierzących towarzyszy, szykanowano ich. Gwoli świętego spokoju woleli oni uprawiać praktyki religijne po cichu, na zewnątrz zaś przywdziać ateistyczną szatę. Powstała swego rodzaju podwójna buchalteria, podwójny stosunek do życia, religii — ten wewnętrzny domowy i zewnętrzny, na pokaz. Od takich ludzi nie ustrzegł się także i aparat partyjny. System podwójnej buchalterii działał tu w sposób bardziej skomplikowany, skryty, a tym samym jeszcze bardziej perfidny. Główna przyczyna tego stanu rzeczy, to powierzchowność i wulgaryzacja propagandy ateistycznej, zadowalanie się tylko zewnętrznymi oznakami „aktywności”, zapominanie o stałym, marksistowsko-leninowskim wychowaniu członków partii, brak troski o ugruntowanie światopoglądu naukowego wśród aktywu partyjnego, żywiowość propagandy ateistycznej.

A rezultaty? Wbrew ocenom hurraoptymistów, w szeregach partyjnych mamy wielu, bardzo wielu ludzi o nienaukowym światopoglądzie. W organizacjach partyjnych na wsi przeważają — można to śmiało powiedzieć — towarzysze, którzy hołdują jeszcze starej ideologii. Cóż w tym złego — zapyta ktoś — wiemy o tym. Wiemy, ale prawie nic nie robimy, by było inaczej. Bodaj jedyny sposób propagowania naukowego światopoglądu, to odczyty TWP (pomijam tu ogromny wpływ prasy, radia itp.). Nasza ślamazarna i żywiolowa propaganda ateistyczna natrafia niejednokrotnie na opanowane już przez kler pole, z czym się nie zawsze liczymy.

Niektórzy wierzący członkowie partii powołują się na Konstytucję, że przecież mówi ona o wolności sumienia i wyznania. Dlatego każdy obywatel, a więc i każdy członek partii ma prawo do swobodnego wykonywania praktyk religijnych. Stanowisko to wyływa moim zdaniem z niezrozumienia istoty zagadnienia, pomieszania pojęć. Co innego jest stosunek państwa do religii w ogóle, co innego zaś stosunek partii do wolności religii w samej partii. To są dwie różne sprawy. Omawiając stanowisko Engelsa, w sprawie stosunku socjaldemokracji do religii Lenin pisał:

„Engels uczynił to (mowa o krytyce słynnego punktu programu erfurckiego — S. Z.) w formie oświadczenia umyślnie przezeń uwypuklonego, że socjaldemokracja uważa religię za sprawę prywatną w stosunku do państwa, lecz bynajmniej nie w stosunku do siebie, nie w stosunku do marksizmu, nie w stosunku do partii robotniczej”.

Siła partii polega na zwartości i jedności jej rewolucyjnego światopoglądu. Światopogląd ten, to materializm dialektyczny. Jest rzeczą niemożliwą, by ktoś mógł połączyć wierzenia religijne z wiedzą naukową, marksizm z idealizmem. Czy znaczy to jednak, że ci, którzy hołdują wierzeniom religijnym, mają opuścić szeregi partyjne? Nie. Byłaby to rezygnacja z wielu uczciwych, oddanych sprawie socjalizmu ludzi. Zadaniem organizacji partyjnych jest nie tylko dopuszczać, ale i przyciągać do partii wszystkich robotników zachowujących wiarę w Boga, „przyciągać w celu wychowania ich w duchu naszego światopoglądu”. Wewnątrz partii nie ma miejsca na aktywny, wojujący klerykalizm, na otwartą walkę ze światopoglądem materialistycznym, na obłudę i zakłamanie. Różne są jednak wymogi, różne kryteria oceny, inne w stosunku do członków partii na wsi, inne do robotników i jeszcze inne w stosunku do inteligencji i aktywu partyjnego. Jeśli na wsi przeważają towarzysze hołdujący wierzeniom religijnym, to proces ten jest w pewnym stopniu wytłumaczony. Gdy część robotników — członków partii uznaje nienaukowy

światopogląd — to można sobie to w ten czy inny sposób wytłumaczyć. Gorzej natomiast jest wówczas, gdy inteligenci — członkowie partii ulegają przemożnym wpływom kleru, gdy idealizm panoszy się wśród aktywu partyjnego, gdy atakuje aparat partyjny. Powiedzmy śmiało i szczerze: wśród aktywu partyjnego nie powinno być ludzi o nie skryształizowanym światopoglądzie. Niedobrze jest wówczas, gdy członkowie partii wyznają zasadę podwójnej buchalterii, gdy na zewnątrz mienią się komunistami, a w życiu prywatnym są aktywnymi głosicielami obcego partii światopoglądu. Zaś całkiem źle jest, gdy instancje i organizacje partyjne „nabierają wody w usta”, pobłażliwie i wspaniałościomysłnie rozgrzeszają tych nosicieli obłudy i zakłamania.

Nadmierna obojętność wobec religii w ogóle, zaś w stosunku do religii wewnątrz szeregów partyjnych w szczególności oraz żywołość propagandy ateistycznej oznacza w praktyce ustępstwo na rzecz wojującego klerykalizmu, sprzyja rozwojowi i umacnianiu obcego partii światopoglądu, prowadzi ku rozszerzaniu się wstecznej ideologii.

Czas najwyższy, by z powagi tego zagadnienia zdały sobie sprawę wszystkie organizacje partyjne, czas, by zagadnienie religii i stosunku do niej znalazło się w centrum uwagi całej partii, czas, by instancje i organizacje partyjne wypowiedziały zdecydowaną walkę ludziom o dwóch twarzach, by ustosunkowały się do nich, pozbyły się zbędnego balastu. W partii nie ma i nie może być miejsca dla ludzi obłudnych, rozsądników politycznego zakłamania, którzy na zebraniach buńczucznie potrzásają legitymacją partyjną, a w domu, przesuwają paciorki różańca.

10.

3 lipca — Janusz Bryliński¹, „Nagonka klerykalna grozi Konstytucji”

— *Głos Olsztyński*, nr 157.

Artykuł ten jest zsumowaniem myśli zawartych w listach, jakie wpłynęły do nas w ostatnich tygodniach. Dotyczą one zagadnienia, które wskutek zdecydowanej reakcji społeczeństwa wysunęło się ostatnio w Polsce jako problem, który wymaga szybkiego uzdrowienia.

Chodzi o nadużywanie religii dla celów klerykalnej nagonki.

Z tym zjawiskiem można się spotkać w wielu wsiach i miastach. A zdawałoby się, że jest to sprawa już dawno uregulowana. Konstytucja zapewnia swobodę praktyk religijnych, nasze władze i sądy surowo karzą za wszelkie wystąpienia przeciw religii i ludziom wierzącym. Zresztą — rzadko się zdarza, by człowiek stojący na stanowisku ateistycznym występował oficjalnie przeciw religii i Kościołowi. Tolerancja czyjegós światopoglądu należy do osiągnięć naszej demokracji.

Jest jednak inne zjawisko — odwrotne. Brak często tej szlachetnej tolerancji u ludzi wierzących i pewnej części kleru. Gdy marksiści mówią o swobodzie praktyk religijnych, o swobodzie wierzeń religijnych, w tym samym czasie pewna część kleru uprawia bezprawną, sprzeczną z Konstytucją nagonkę na niewierzących, daje przykład uporczywej, aktywnej nietolerancji wobec niewierzących, zmierza do rozbijania społeczeństwa na wierzących i niewierzących. W listach, które wpłynęły do Redakcji czytelnicy pytają: „Jakim prawem tak się dzieje? Jeśli ludzie niewierzący szanują poglądy religijne katolików, nie występują przeciw Kościołowi i klerowi, a przeciwnie — stoją na

¹ Janusz Bryliński (ur. 1933 r.), absolwent Wydziału Filozoficzno-Społecznego (Sekcja Dziennikarska) Uniwersytetu Jagiellońskiego — 1954 r. Od września tego roku publicysta „Głosu Olsztyńskiego”.

stanowisku wolności wyznań, to dlaczego pewna część kleru odpłaca się stosowaniem nacisku i szantażu na ludzi z środowiska bezwyznaniowego, dlaczego stara się zmobilizować przeciw nim opinię katolicką, załamać ich, zohydzać ich w oczach katolików?

To jest właśnie pytanie, które powtarza się w listach. Wypadki, które opisują nasi czytelnicy należą, niestety, do nader częstych. Ile jest wypadków stosowania przez niektóre kościoły[!] szantażu i nacisku na rodziców, by ci zmusili dzieci do praktyk religijnych. Ile jest wypadków inspirowania dzieci, by te były nieufne do ojca, który jest bezwyznaniowcem. I ile stąd, zapytajmy, zepsutego i skłóconego życia rodzinnego nieufności, zgwałcenia elementarnej zasady wolności wyznania. Można wymienić inne formy i pola działania nietolerancji. Nagonka na małżeństwa, które nie zawarły ślubu kościelnego, odizolowanie od społeczeństwa wsi nauczyciela-ateisty, dyskryminacja w szkole dzieci niewierzących... Cała ta agresja nietolerancji dzieje się w chwili, gdy nie tylko mówimy o prawie każdego obywatela do swobodnego wyboru światopoglądu, ale to prawo zabezpieczamy.

Zacytujmy fragment listu z Górowa Iławeckiego:

— „Czy ksiądz K...ski², proboszcz parafii Górowo Ił., jest w porządku w stosunku do państwa ludowego i jego praw oraz w stosunku do własnego sumienia duszpasterza, jeśli ludzi, którzy są niechrzczeni, każe chować poza cmentarzem? Jest nawet tak, że chowa się tam dziecko, które nie mogło być ochrzczone, gdyż urodziło się nieżywe... Mówi to o tym, że stawia on sobie wyraźnie za cel rozgraniczenie ludzi różnych poglądów i to nawet po śmierci... Albo sprawa małżeństw opierających się na podstawie związku w Urzędzie Stanu Cywilnego. Są wówczas te małżeństwa prześladowane mało co nie po nazwiskach z ambony kościelnej. Ksiądz mocno bije pięściami na ambonie i udowadnia nieważność takiego związku. Mówi, że to nielegalne związki małżeńskie, że to demoralizacja i przestępstwo przeciw wierze kościoła... Czy to jest poszanowanie praw?”

Otóż to! Czy to jest poszanowanie praw? To nie jest poszanowanie — lecz nadużywanie praw. Polityka księdza K...skiego, o której pisze nasz czytelnik, zmierza do rozdzielenia ludzi na wierzących i niewierzących, skłócenia ich ze sobą. A na to nie wolno nam się zgodzić. Niech każdy człowiek sam decyduje o wyborze światopoglądu, niech sam kieruje swoim postępowaniem. Jeśli jakiemuś księdzu nie podoba się postępowanie części ludzi mieszkających we wsi lub miasteczku, to wcale nie znaczy, by wolno mu było wytwarzać wokół nich atmosferę potępienia i pogardy. Stąd już tylko krok do zaszczucia człowieka i załamania go.

Weźmy inną sprawę. Częste są wypadki występowania księży przeciw nauczycielom. Próbuje podważyć szacunek i zaufanie, jakim cieszą się w naszym społeczeństwie pracownicy szkół. Wywiera się nacisk na wierzących, moralną presję, by patrzyli na nauczycieli jako na pierwszych wrogów religii. Np. ksiądz P...wicz³ z Babiaka w swojej niechęci do szkoły posuwa się do zwyczajnych niewybrednych wymysłów. Powołuje się przy tym na Konstytucję, że niby oni (nauczyciele) nie znają jej, gdyż uczą, że Boga nie ma. Gdyby nawet tak było, to należy zapytać, czy Konstytucja oznacza tylko i jedynie zezwolenie i przywilej nauczania, iż istnieje Bóg. Przeciwnie! Tak jak ksiądz ma prawo uczyć o istnieniu Boga — tak nauczyciel ma prawo uczyć poglądów materialistycznych. Zaś Konstytucja mówi o tym, że obywatel ma prawo swobodnie zdecydować, komu wierzyć i co mu bardziej trafia do przekonania. Wyklucza się tutaj wszelki nacisk

² W tekście pełne nazwisko.

³ W tekście pełne nazwisko.

i przymus. Żaden nauczyciel i żadna władza nie zabrania wierzyć w Boga. Odwrotnie postępują niektórzy księża i wywierają nacisk na tych, którzy wybrali światopogląd ateistyczny. Głośno potępiają niewierzących, mobilizują przeciw nim opinię wsi, nakazują rodzicom przymuszanie dzieci do praktyk religijnych, na każdym kroku wprowadzają podział na wierzących i niewierzących. Po to — by te grupy sobie przeciwstawić.

Można by dużo takich spraw opisywać. Na przykład: czy w życiu państwowym potępia się kogoś za to, że chodzi do kościoła? Nie! Dlaczego zatem wielu księży potępia głośno tych, którzy nie uczęszczają do kościoła? Gdzież jest więc tutaj wolność i równouprawnienie poglądów, o których mówi Konstytucja?

Powiedzmy szczerze — ta wolność jest często deptana przez niektórych nietolerancyjnych księży, którzy chcieliby wolności, ale tylko dla swoich poglądów i swoich poczynań — często nawet wcale nie religijnych. W liście, jaki otrzymaliśmy z Biskupca czytamy:

„Ksiądz Cz...a⁴ z Bisztyńka w dniu 24 IV 1956 r. kazał jakiemuś chłopcu dla swoich prywatnych celów wyjść na wysoki stromy dach i pozakładać dachówki, które stracił wiatr. Chłopiec miał z 14 lat. Bardzo się bał i nie chciał wejść jeszcze wyżej na dach. Wtedy ksiądz zaczął na niego krzyczeć. Chłopiec powiedział, że się boi. Wtedy ksiądz odpowiedział, by się nie bał »bo ja się modłę za ciebie do Boga Ojca i nie spadniesz z tego dachu«. Chłopak, gdy to usłyszał, wdrapał się jeszcze wyżej na dach.

A ja się pytam, czy ksiądz daje mu jeść, by się czymś dzieckiem rozporządzać? Pytam się, kto dał mu takie prawo i pytam księdza Cz...ę, kto by odpowiadał, gdyby chłopak spadł z tego dachu i co by ksiądz zrobił i co by rodzicom powiedział, gdyby chłopiec się zabił. Ja pytam księdza, czy Bóg każe księdzu robić tak, jak ksiądz robi...?”

* * *

Nietolerancja i nadużywanie religii zdarzają się u nas dość często. Trudno przejść obok tej sprawy milcząco. Powtarzamy: nie może być nacisku ani przeciw, ani na rzecz religii. Niech decyduje wolna wola obywatela. By tak się mogło dziać, musi być w pełni i z całą konsekwencją przestrzegana Konstytucja i treść porozumień zawartych między Episkopatem i Rządem PRL.

11.

**1 sierpnia — Bohdan Michalski¹, „Bunt przeciwko karierom bez pokrycia”
— Warmia i Mazury, nr 8.**

W minionych latach do Olsztyna i w Olsztyńskie schroniła się masa ludzi, którym bądź gdzie się noga powinęła, bądź też z powodu opłakanych kwalifikacji musieli ustępować miejsca innym. Ludzie ci niejedno zawali, jako przeważnie absolutne miernoty.

Najechali Olsztyn w początkowym okresie. Właśnie kiedy starą i wykwalifikowaną inteligencję usuwano z kierowniczych stanowisk na skutek cienia choćby nieufności, wylęglej w „chorych mózgach” personalników.

Inna część inteligencji, która w pierwszym okresie była w Olsztynie dość liczna,

⁴ W tekście pełne nazwisko.

¹ Bohdan Michalski (ur. 1931 r.), absolwent prawa Uniwersytetu Warszawskiego. W Olsztynie, z nakazem pracy, od 1953 r. Pracownik prokuratury.

uciekała do Warszawy, czy innych atrakcyjnych miejscowości. Wybijający się inteligenci byli zresztą po prostu wyciągani z Olsztyna do innych miast.

Jeszcze gorzej niż w Olsztynie było w terenie województwa olsztyńskiego.

Przybysze spod znaku „niebieskich ptaków” wykorzystali koniunkturę, usadowili się na ciepłych posadkach, umocnili pyskowaniem, a niekiedy i innymi sposobami, stojącymi nierzadko w sprzeczności z etyką, i zaczęli w atmosferze kadzideł działać i porastać w wielkość i tłuszcz. Rzecz jasna, poziom pracy w wielu wypadkach uległ zastraszającemu obniżeniu. Jednak nie przejmowano się tym zbytnio, bo ci nowi zawsze mieli w pogotowiu uniwersalne tłumaczenie własnych błędów w działalności bliżej nieokreślonego „wroga klasowego”.

Tymczasem zaczęto do Olsztyna rzucać pierwszych absolwentów. Powitano ich... sloganami. Tak nieomal jak ongiś witano w odległych garnizonach nowe partie rekruta. Bo choć byli to ludzie z kwalifikacjami, ale musieli pracować trzy lata na najniższych grupach i praktycznie w żaden sposób nie mogli reagować na opisany powyżej stan. Nie było z nimi tylu kłopotów jak np. z ludźmi z awansu społecznego.

Mieszkania przywiązanego do nakazu pracy nikt nie traktował poważnie. Pies z kulawą nogą absolwentami się nie zainteresował.

Zresztę pytanie, kto miał to zrobić? Czy Zarz. Woj. ZMP, owa kulejąca wówczas na cztery nogi instytucja, nie mająca absolutnie żadnego pojęcia o pracy z inteligencją? A może inne instytucje chętne do odbierania świadczeń, niechętne do świadczenia?

Zapomniałem. Była instytucja, która musiała się „interesować” absolwentami. Była nią Prokuratura, gdzie kierowano sprawy ludzi, którzy przerażeni potwornymi nieraz warunkami bytowania i bezduszością władz, decydowali się na ucieczkę...

Dochodziło do paradoksu, że zatrudnieni w Prokuraturze i załatwiający sprawy absolwentów absolwenci, zmuszali dyrektorów do zajęcia się danymi im w opiekę ludźmi, a zarazem sami byli traktowani przez swe władze, tak jak ci, którzy mieli możliwości uciezki...

Wypadki zamieszkiwania absolwentów w niemożliwych do opalania zimą pokojach, spania na biurkach — to są rzeczy w Olsztyńskim wcale nie wyjątkowe.

Są to przeważnie wspomnienia z minionego okresu, ale i obecna sytuacja pozostawia dużo do życzenia.

Ludzie z okresu koniunktury jeszcze bardziej poзрастali się ze swymi miękkimi fotelami, ale zarazem i absolwenci dorośli, poznali na tyle tajniki zawodu, że już w wielu wypadkach przewyższyli owych „wybitnych praktyków”. Zorientowali się zarazem w jednym, że w Olsztyńskim nie mają przed sobą wielkich perspektyw, gdyż osoby, jakie w większości wypadków znajdują się przypadkowo na wysokich stanowiskach, to ci, którzy w pewnym okresie miast bawić się w niepotrzebne studia — wykorzystali nadarżające się szanse i obsadzili szereg stanowisk.

Przed ludźmi minionych awansów twardo należy postawić alternatywę: albo uzupełnią swe kwalifikacje w minimalnym czasie, albo też będą musieli szukać pracy bardziej odpowiadającej ich umiejętnościom.

Olsztyn jest właśnie terenem, gdzie w wielu wypadkach im wyżej w hierarchii, tym gorzej z kwalifikacjami. I dlatego najważniejszym zadaniem tego województwa jest obecnie walka o stworzenie środowiska inteligenckiego, trwale związanego z terenem i starającego się naprawdę coś solidnego tu właśnie zrobić.

Władze wojewódzkie konieczności tej nie widzą. I z zadziwiającą, iście sarmacką

hojnością, mogą roztrwonić bezpowrotnie ów akumulujący się właśnie obecnie kapitał ludzi.

A przecież Olsztyn w dalszym ciągu potrzebuje dużo ludzi i to właśnie wykształconych. Władze — wystarczyłoby, aby trochę pomyślały, a znajdą jeszcze pracę dla bardzo wielu. Oto garść przykładów.

W resorcie kultury humanistów można policzyć na palcach, około 50% aktorów w miejscowym teatrze jest bez egzaminu aktorskiego, w Prokuraturze spotyka się osoby, którym dużo brakuje do pełnego średniego wykształcenia. Wielu wykładowców w Wyższej Szkole Rolniczej legitymuje się tylko tytułem magistra, w Komitetach Partii i zarządach ZMP ludzie z wyższym wykształceniem — to rzadkie wyjątki. Nie lepiej wyglądają w tym względzie olsztyńskie redakcje. A np. w Komendzie Woj. Milicji i Woj. Urzędzie do Spraw Bezpieczeństwa jest tylko jeden ukończony prawnik.

Wymagać od młodej, zaczynającej się budzić inteligencji należy wiele, ale najpierw trzeba stworzyć warunki bytowe, bo samą ideą, nawet najpiękniejszą, nikt nie wyżyje. Cudów jak dotychczas nie ma. Ten moment władze winny wziąć pod uwagę.

I jeszcze jedna rzecz: kredyt zaufania.

12.

**15 sierpnia — Bohdan Wilamowski¹, „Uwaga — antyautochtonizm!”
— Warmia i Mazury, nr 9.**

Na wstępie pragnę stwierdzić, że walka o pozyskanie ludności autochtonicznej — jest równocześnie walką o zachowanie odzyskanych ziem. Zdają sobie z tego doskonale sprawę rewizjoniści niemieccy i dlatego tak biją się m.in. o Mazurów i Warmiaków. Jasne — zdobywając ludzi, chcą zdobyć i prawa do zamieszkiwanego przez nich terytorium. A nie możemy zaprzeczyć, że głównym (choć nie jedynym) argumentem uzasadniającym włączenie Warmii i Mazur do Polski — był fakt zagospodarowania ich od wieków przez polski lud.

Rozumując dalej, trzeba postawić pytanie: czy niesłuszne są w takim razie ambicje świadomej części Warmiaków i Mazurów, którzy chcą być u siebie nadal gospodarzami i w ludności napływowej widzieć współgospodarzy przybyłych tu w celu uzupełnienia szeregów przeredzonych niewolą i germańską eksterminacyjną polityką? Tymczasem niektórzy spośród ludności napływowej — ci najbardziej opętani nacjonalismi — przyjmują postawę władców — jakby nowego „Herrenvolku”.

Zasadniczym błędem pierwszych lat powojennych było nasilenie osadnictwa na terenach wybitnie autochtonicznych — zamiast, jak tego żądali miejscowi działacze — w północnych rejonach województwa. Ta nieprzemyślana polityka osadnicza ułatwiła nie tylko szaber, ale spowodowała „naturalne” wypieranie autochtonów z ich gospodarstw. Zasilenie rejonów środkowych i południowych dopiero później — po północnych — dałoby czas na przeprowadzenie bardziej gruntownej selekcji oraz na rozumne podejmowanie kroków w stosunku do wysiedlonych — Niemców. (I wiemy — nie-Niemców!).

Osiedleńcy wpuszczeni na tereny autochtoniczne przejęli całkowicie władzę w swoje ręce i oni „typowali” i postanawiali: kogo wysiedlić. Nie poziom świadomości narodowej, czy stosunek do ustroju decydował o tym, kto się znajdzie „na liście”. W pierwszym

¹ Bohdan Wilamowski (ur. 26 III 1914 r. na Działdowszczyźnie), działacz społeczno-oświatowy i polityczny (członek Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego).

rzędzie wysiedlono tych, którzy byli najlepiej zagospodarowani i mieli średniackie gospodarstwa. (A to dlatego, by na nie wprowadzić kumotrów).

Bardzo często w pierwszych transportach wywożono ludzi najsilniej związanych z polsnością. Mieli oni czyste sumienia i dlatego odważyli się przeciwstawić szabrowi i innym nadużyciom. Byli więc niewygodni.

Po zahamowaniu akcji wywożenia za Odrę i po zasiedleniu gospodarstw najlepszych, pozostały „do wzięcia” jedynie gospodarstwa najbardziej zrujnowane. A osadnicy ciągle przybywali. Nie każdy miał ochotę brać w posiadanie „ruinę”. Co sprytniejsi po prostu zabierali przemocą gospodarstwa autochtonów. Prawowity właściciel — Warmiak czy Mazur — pozostawał w oddanym mu jakimś kącie swego dawnego gospodarstwa, albo przeniósł się do innego „mocniejszego” autochtona i zamieniał w parobka pracującego za cenę nędznej stawy.

Po pewnym czasie, gdy powojenny chaos powoli ucichł — autochtoni zaczęli domagać się zwrotu swych posiadłości. Powstał problem tzw. spornych gospodarstw. I tu ujawniło się coś, co można by nazwać „antyautochtonizmem” władz — zagrabione gospodarstwa z reguły nie były zwracane prawowitym właścicielom. Uzasadniano, że osiedleniec dał już przecież pewien wkład pracy, że przeniesienie go na inne gospodarstwo byłoby dlań krzywdą itp. O tym, że autochton pracował na swej ziemi całe życie, czasem od pokoleń — jakoś zapomniano. Czy to nie jeden z dowodów „odrębnych” praw dla „zwycięzców” i „zwyciężonych”?

Przykładem nastrojów „antyautochtonicznych” jest sprawa pomocy państwa w zagospodarowaniu się. Początkowo Warmiaci i Mazurzy zostali z niej w ogóle wyłączeni, gdyż rzekomo — jako nietknięci przez zawieruchę wojenną, pozostali na miejscu — wszystko mają! Później dopiero władze centralne zgodziły się, by z ogólnej puli mogli też i oni korzystać. Ale ponieważ nie było autochtonów we władzach, a co najwyżej stanowili mniejszość w różnych komisjach — i tak nic do ludności miejscowej nie trafiało. Po długich staraniach udało się (ku wielkiemu oburzeniu „antyautochtonów”) wydzielić pewną część środków, która została przeznaczona tylko dla ludności warmińskiej i mazurskiej. Znalazła się jednak rada, aby i to gdzie się uda — utrać. Dawni właściciele gospodarstw — teraz parobcy — składali na przykład podanie o przydział konia. No i otrzymywali. Postarał się o to sam pan — osadnik. Autochton plus koń wspomagali przecież jego gospodarkę! Autochtonowi pozostawało więc jedynie... spłacać dług za konia.

Do rzadkości należało udzielanie pomocy tym autochtonom, którzy utrzymywali się na własnych gospodarstwach.

W pewnym okresie zaistniało i tak „swoiste” zjawisko, że — zamienieni kiedyś przemocą w parobków na swych dawnych gospodarstwach autochtoni — zaczęli się domagać zaległej od kilku lat zapłaty. Duża w tym zasługa władz Związku Zawodowego Robotników Rolnych, które zaczęły walczyć o równouprawnienie robotników autochtonów z innymi robotnikami rolnymi.

Ale wróćmy do sprawy pomocy autochtonom. Podobnie jak przy kredytach na zagospodarowanie się, przydzielanie krów, koni — zaczęto ich także uwzględniać w takich dziedzinach, jak zaopatrzenie w ziarno siewne, nawozy, materiały budowlane, rozdzielanie artykułów deficytowych itp. (Trzeba to przyznać — choć nie obeszło się bez niesprawiedliwości).

Z czasem formy i zakres działania na rzecz ludności miejscowej uległy pewnej

poprawie. Ale „antyautochtonizmu” nie zwalczyliśmy do końca. Dziś jeszcze nie jeden biurokrata, łamiąc praworządność, wyznaczy Warmiakowi czy Mazurowi wyższy [wymiar podatku, „wy]ciśnie” — procent tłuszczu w mleku, urwie coś — z należnej premii za ponadobowiązkowe dostawy, a w mieście — zepchnie na ostatni plan w przydziale mieszkania, wykonaniu remontu lokalu, nie da zezwolenia na zamieszkanie we własnym domku itp.

Jedną z istotnych przyczyn osłabienia ekonomicznego bardzo poważnej części ludności miejscowej była po znachorsku prowadzona polityka klasowa w zakresie podatków i obowiązkowych dostaw. Podstawą wymiaru był posiadany, a nie faktycznie uprawiany areal gruntów. Ze względu na osłabienie skutkami wojny rodzin oraz brak środków produkcji, m.in. z przyczyn przykładowo omawianych, dużo rodzin autochtonicznych uprawiało bardzo niewiele ziemi i dlatego niemal cała produkcja szła na pokrycie zobowiązań wobec państwa. Rezultatem był stały upadek gospodarstw autochtonicznych. Nie mogła mieć miejsca nawet reprodukcja prosta, m.in. na odcinku siły roboczej.

Znów zapomniano o „drobnym szczególe”, że nie ziemia tworzy nowe dobra a praca ludzka jest źródłem bogactwa, a dalej, że nie posiadany obszar gruntów a zatrudnienie siły najemnej decyduje o przynależności do klasy wyzyskiwaczy. Zamiast polityki ograniczania kułactwa robiliśmy sztucznie, wbrew zasadom nauki ekonomiki, z wyzyskiwanych wyzyskiwaczy. Sztucznie przyćwieczone piętno kułaka dało „antyautochtonom”, jeszcze jeden pretekst do wystąpień przeciw dużej części ludności miejscowej i stało się jeszcze jedną z przyczyn załamania jej sytuacji ekonomicznej.

Położenie ludności miejscowej pogarsza ogólnie niski poziom zagospodarowania naszych ziem w zestawieniu z innymi województwami. Sytuacja województwa na tle większości województw w kraju jest podobna do sytuacji autochtonów w porównaniu z sytuacją ludności napływowej.

Odpowiedzialność za to spada w dużej mierze na władze terenowe, a w szczególności — wojewódzkie. Po prostu za mało stanowczo domagały się one uwzględnienia postulatów ekonomicznych swego terenu. Były zbyt łagodnymi i cichymi „klientami”, władz centralnych. Rezultatem są niktę w porównaniu z innymi województwami inwestycje okresu planu 6-letniego i małe nadzieje na poprawę tej proporcji w nowej pięcioletce. Kiedyś argumentowano nam „na szczeblu centralnym”, niby słusznie, że w pierwszym rzędzie państwo musi stanąć mocną stopą na ziemiach zachodnich i to nie tylko ze względów politycznych, ale i dlatego, że tam są większe zasoby surowców i ogólnie większy potencjał ekonomiczny... Potem znów władze dowodziły, że nie można w Olsztyńskim rozbudowywać przemysłu, gdyż powstanie niebezpieczeństwo odpływu ludności do miasta, a wieś tutejsza jest i tak niedoludniona. Grozi to powstaniem wtórnych odłogów... Rozumowanie takie jest trochę na bakier z dialektyką. Czy czasami zasada socjalistycznej ekonomiki mówiąca o równomiernym rozmieszczaniu sił wytwórczych u nas nie obowiązuje? Boimy się odpływu do miasta, a nie boimy się odpływu ludności z województwa! Zapominamy, że warunkiem rozwoju i przebudowy rolnictwa — jest industrializacja, a więc rozwój miast (i to nie tylko w skali krajowej, ale i regionalnej). Rozwijające się miasta — przyciągają ludzi nie tylko do przemysłu, ale i na rolę. Wieś zdobędzie przecież bliższy i bardziej chłonny rynek, bliższe i bardziej zróżnicowane szkoły, bardziej ożywione ośrodki kulturalne, lepszą komunikację. I tak dalej.

Po nasileniu inwestycji — na pewno zbędne staną się wyjazdy w celu werbowania osadników. Będzie dosyć kandydatów na osiedlenie się i na wsi, i w mieście.

Są tacy, którzy odmowę środków na inwestycje przemysłowe w naszym województwie — argumentują brakiem miejscowych surowców. Rodzi się pytanie: czy takie na przykład Radomsko ma lepszą od nas bazę surowcową dla powstania kombinatu wytwarzającego meble? Chyba nie. Ale ciągnijmy wywód dalej.

Jeżeli już nie mamy iść w kierunku urbanizacji, to dlaczego tak niedostatecznie rozwijamy budownictwo mieszkaniowe i produkcyjne w PGR-ach? Coraz więcej ludzi zgłasza się tam do pracy, ale odchodzą. Z braku mieszkań. I znów „kłania się” dialektyka: główną przyczyną niezadowolającego poziomu gospodarki w PGR-ach jest bardzo poważny brak ludzi!

Martwota gospodarcza, szczególnie w niektórych rejonach województwa, powoduje powstawanie bezrobocia. Dotyczy to przede wszystkim kobiet, których stosunkowo dużo jest właśnie wśród ludności autochtonicznej.

Pewnego rodzaju „namiastką” przemysłu państwowego jest spółdzielczość pracy. W Ukcie na przykład jest spółdzielnia tkacka. Kiedyś miała ona filie po okolicznych wsiach. Stwarzała możliwości uzyskiwania przynajmniej minimalnych zarobków sporej rzeszy autochtonek. Zgodnie, niestety, z powszechnym zwyczajem — kierownictwo spółdzielni stanowili ludzie napływowi, polecani tu przez władze nadrzędne jako rzekomi fachowcy. Okazało się, że byli to nie byle jacy „fachowcy”. Nadużycia ich sięgają podobno półtora miliona złotych! Kolejno więc polikwidowano filie po wsiach. Niektórzy chcą zlikwidować samą centralę w Ukcie. W rezultacie — wiele osób zostało pozbawionych pracy. (Dopiero ostatnio władze centralne postanowiły błąd naprawić).

W rejonie Ukty brak innych przedsięwzięć — między innymi PGR-ów. Po staremu autochtonom pozostało sezonowe zbieranie jagód i grzybów w lesie. Nie zabezpiecza to nawet nędznej vegetacji, chociaż z uznaniem należy podkreślić fakt, że zostały zorganizowane państwowe placówki skupu runa leśnego, które zabezpieczają ludność miejscową przed szyskanami i wyzyskiem.

Inaczej bowiem było kilka lat temu — wspomnijmy choćby wypadki szczycieńskie...

Pewnego dnia gruchnęła wiadomość, że jagody sprzedawane na rynku przez autochtonów są zatrute, na skutek czego... zginęło kilka osób! Wszczęte natychmiast dochodzenie wykazało, że w Szczytnie nie zanotowano w owym czasie ani jednego wypadku jakiegokolwiek zatrucia, a tym bardziej — śmiertelnego. Cel jednak został osiągnięty: wzrosła niechęć do ludności miejscowej. Mazurki z jagodami — bez pieniędzy — wróciły do domów. Cena jagód sprzedawanych przez ludność napływową bardzo wzrosła. Mazurki zamiast po jagody do lasu — poszły do pracy u kułaków. Za wyżywienie.

Był to jeszcze jeden z licznych wypadków „antyauchtonizmu”. Głupota święciła triumfy.

* * *

Dziwimy się, dlaczego wśród ludności miejscowej nie narasta fala patriotyzmu, uczucie miłości do narodu polskiego. Cóż, nie samą miłością człowiek żyje. Zresztą chyba niesłusznie domagamy się tej... platonicznej miłości. Mazurzy i Warmiacy to normalni ludzie: chcą prawdziwej miłości i to z wzajemnością. A nie zapominajmy, że patriotyzm, to swoista miłość, to miłość, której niezupełnie obce jest podłoże materialne. Dlatego sędzę,

że realność posunięć w zakresie pracy repolonizacyjnej wśród ludności miejscowej — zależy w bardzo dużym stopniu od rozwiązania sytuacji ekonomicznej tej ludności. Nie chodzi tu o same zapomogi, jałmużnę na cele konsumpcyjne. Należy wykorzystać zdolności produkcyjne ludzi. Przez rozwój inwestycji autochtoni powinni znaleźć możliwość uczciwych zarobków.

Czy słusznie znów sięgam do smutnej przeszłości? Chyba tak i to głównie dlatego, że wiele błędów wyrosłych na podłożu „antyautochtonizmu” zdarza się jeszcze dziś. Powinniśmy się uczyć i na błędach. I drugi powód — skutki popełnionych błędów odczuwa ludność do dziś. Nie wystarczy obecnie równouprawnienie, lecz szeroka akcja specjalnej pomocy dla ludności miejscowej. Pozwoli to na podciągnięcie ludności miejscowej do poziomu stopy życiowej całego społeczeństwa polskiego. Zdaję sobie sprawę z tego, że obecna sytuacja ekonomiczna państwa nie pozwoli na natychmiastową naprawę wszystkich braków. Chodzi jednak o to, by obserwowana ostatnio zmiana na lepsze była zapoczątkowaniem systematycznej, przemyślanej i narastającej pracy na tym odcinku, a nie jeszcze jedną dorywczą akcją.

Bez rozwiązania chociażby minionych spraw nie można spodziewać się pozyskania dla polskości i dla naszego ustroju ludności miejscowej. Zachodzi dlatego konieczność zapewnienia zwycięstwa nurtowi reprezentowanemu przez Partię i Rząd. Zwalczać natomiast musimy wszelkie posunięcia wyrosłe na podłożu nacjonalistycznym, bo w przeciwnym razie czeka nas jeszcze i trzecia „akcja W”, mianowicie akcja wyjazdowa autochtonów za Odrę i — dodajmy — nieautochtonów do innych ziem Polski. Nie zapominajmy bowiem, że na skutek nacjonalistycznego podejścia sytuacja masy Ukraińców i Białorusinów stała się także trudna. Również część ludności napływowej odczuwa braki w zagospodarowaniu województwa olsztyńskiego i zdradza chęć wyjazdu do rejonów stojących wyżej pod względem ekonomicznym.

Dotychczasową sytuację w „polityce autochtonicznej” można porównać do wiosennej odwilży: odgórne działanie ciepła powoduje stopniowe topnienie górnych, mniej „zatwardziałych” warstw. Poniżej jednak usadowiła się gruba powłoka lodu, która ludność tę trzyma w okowach. Muszą się znaleźć środki na wytworzenie ciepła oddolnego. Nie możemy poprzestać tylko na entuzjazmie jednostek, jak — przykładowo — prof. dr Leśnodorski², E. Sukertowa-Biedrawina³, dr Grygier⁴, Wytrzątek⁵, Sikora⁶, wielu publicystów, dziennikarzy, niektórych członków władz wojewódzkich, rzadziej powiatowych i niższych itd. Gejzery nie zmieniają klimatu. Czekają nas dlatego głęboka i długotrwała praca społeczno-polityczna, kulturalna i gospodarcza — nie tylko wśród ludności miejscowej, ale i napływowej, bo w przeciwnym wypadku będziemy mieli odzyskane ziemie, a nie ludzi — prawowitych tych ziem gospodarzy. Byłaby to jeszcze jedna — chyba ostatnia i najsmutniejsza karta w historii ludu warmińskiego i mazurskiego.

2 Bogusław Leśnodorski (ur. 1914 r.), profesor historii państwa i prawa Uniwersytetu Warszawskiego, redaktor *Kwartalnika Historycznego*.

3 Emilia Sukertowa-Biedrawina (ur. 1887 r.), kierowniczka Stacji Naukowej Polskiego Towarzystwa Historycznego w Olsztynie.

4 Tadeusz Grygier, historyk, archiwista, dyrektor Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Olsztynie.

5 Bolesław Wytrzątek, organizator i pierwszy dyrektor Państwowego Liceum Pedagogicznego w Mrągowie.

6 Być może autor miał na myśli Franciszka Sikorę (ur. 1905 r.), pedagoga, inspektora szkolnego w Mrągowie, a następnie kuratora Okręgu Szkolnego Olsztyńskiego.

13.

1 października — Walter Późny¹, „Z przemówienia na Konferencji Inteligencji Miejscowego Pochodzenia”² — Warmia i Mazury, nr 12.

Należę do tych, którzy brali żywy udział w tworzeniu koncepcji rozwiązania problemu ludności Mazur i Warmii w nowej Polsce. A więc koncepcji, które rodziły się w okresie okupacji. Widzieliśmy właściwe rozwiązanie tego zagadnienia jedynie w Polsce socjalistycznej. Nie mogliśmy się pisać na koncepcję AK lub NSZ, której przywódcy mówili, że po zagarnięciu Prus Wschodnich „wyrzną nas w pień”[!].

Tym bardziej bolało nas to, że właśnie w Polsce Ludowej doznaliśmy większej klęski niż za hetmana Gosiewskiego, który mszcząc się za zdradę elektora brał odwet na ludzie mazurskim — polskim. Ponieśliśmy większą klęskę niż za czasów bytności Napoleona na tych ziemiach...

Wiemy, że Polska Ludowa, socjalizm, to sprawa wielka, rzecz godna walki i najwyższych poświęceń. Nie wolno winić ustroju czy władz, lecz zarazem nie wolno nam zapominać o tym, że władze składają się z ludzi, a ci wykorzystując często płaszczyk przynależności partyjnej czy też mundur nadawali i nadają jeszcze dzisiaj ton polityce, wydają różne zalecenia, często ciche, inspirują stosunek do naszej ludności. Jest taka kategoria ludzi, którym się zdaje, że ziemię te będą na pewno nasze, o ile w jak najszybszym czasie pozbędziemy się problemu ludności miejscowej. Staje się dla nas rzeczą jasną, że pierwotna polityka na tych ziemiach to polityka pozbawiania tej ludności przywódców. Polityka przekreślania w naszej historii najpiękniejszych kart z walki społeczno-wyzwoleńczej doprowadziła do kompletnego przecięcia kontaktów inteligencji starszej z młodszą. Młodszy koledzy znajdujący się tu na sali mogą to oświadczyć wręcz, że mieli zalecenie niekontaktowania się z nami, jako tymi „zarazonymi” ludźmi, którzy uprawiali ponoć kiedyś tutaj jakąś politykę „nacjonalistyczną”, gdyż bili się o polskość tych ziem. Powstała taka sytuacja, że tak starzy, jak i młodzi zaczęli się zastanawiać nad tym, czy warto jeszcze w ogóle mówić, dyskutować na temat zagadnień miejscowej ludności. Nie ulega wątpliwości, że warto. Warto, warto się bić o ostatniego chociażby człowieka, w imię wielkiej idei braterstwa ludów, w imię zwycięstwa socjalizmu.

Zastanawiamy się niejednokrotnie nad tym, dziwią się temu ludzie napływowi, dlaczego to Mazurzy, Warmiacy nie chcą przyznawać się do polskości, dlaczego to wyzbyli się poczucia swojej narodowości. Narodowość kształtowała się w okresie rozwoju kapitalizmu. Mazurzy, Warmiacy nie wchodzili wówczas w obręb państwowości polskiej, a więc nie mogli zdobyć także poczucia przynależności do jednego wielkiego narodu — narodu polskiego. A my chcemy dzisiaj, żeby ogół stwierdził, że jest polski — mało to — że ludzie ci są super-Polakami. A dla nas trzeba pewnego okresu dojrzewania — okresu do stoczenia walki wewnętrznej... My domagamy się od człowieka, który wczoraj może jeszcze nie wiedział kim jest, albo też pod wpływem propagandy niemieckiej uwierzył w to, że jest Niemcem, ażeby tak z dnia na dzień zmienił swoją szatę i wołał — „Jestem Polakiem”.

Przesiedleńcy — rzeczywiście ciężki problem do rozwiązania. Nie trzeba trzymać

¹ Walter Późny (ur. 22 II 1910 r.), Mazur, wówczas dyrektor szkoły zawodowej w Szczytnie.

² Wojewódzka Narada Inteligencji Warmińsko-Mazurskiej, zorganizowana przez KW PZPR, odbyła się w dniach 24--25 września 1956 r.

niepotrzebnie starców, którzy mają dzieci po drugiej stronie granicy, dzieci na stanowiskach, a którzy tu cierpią po prostu nędzę...

Ale za to tym młodym, którzy się wahają, zastanawiają nad tym co robić, trzeba nakreślić jakieś realne i bardziej konkretne, namacalne perspektywy. A... są one dotąd bardzo nikłe.

Nie ulega wątpliwości, że dorobek kulturalny Polski jest wielki i jest jednym z większych na świecie. Znany jest także na skutek tego na świecie, za wyjątkiem niestety Mazur. Jest takie powiedzonko niemieckie bardzo złośliwe: „Wo sich aufhört die Kultur da fängt sich zu leben an Mazur”³. Bo kultura za czasów niemieckich nie docierała tutaj na Mazury. Rzecz wiadoma — Niemcom zależało na tym, aby trzymać ten lud w ciemnocie.

A czy dzisiaj zmieniła się wiele sytuacja? Czy nasz dorobek kulturalny dotarł na Mazury? Ja osobiście stwierdzam, że nie. I dlatego też po wsiach ludzie nie mając książki sięgają do lamusa, wyciągają „Mein Kampf” Hitlera i Rosenberga — „Mit wielkiej Rzeszy”. I czytają to. Książki te krążą po prostu z rąk do rąk.

W bibliotekach wiejskich są książki, ale to lektura mało ciekawa, a jednocześnie niezrozumiała dla tego ludu. Zastanawialiśmy się często nad tym, czy nie warto byłoby dostarczyć — tym oczywiście, którzy nie znają dostatecznie języka polskiego — lekturę niemiecką. Dostarczmy im powieści Anny Seghers, dostarczmy im Brechta, dostarczmy im także Sienkiewicza i naszych innych wielkich powieściopisarzy w tłumaczeniu niemieckim. Mój egzemplarz niemiecki „Krzyżaków” i „Quo vadis” wędruje po całym powiecie, ludzie wydzierają go sobie z rąk. Lepsze będzie tego rodzaju wyjście niż każde inne.

Czas także, jeśli ludzie nie chcą czytać „Głosu Olsztyńskiego”, względnie nie potrafią go czytać — by dostarczono mutację „Arbeiter Stimme”⁴, czy też jakiegokolwiek innego pisma w języku niemieckim, redagowanego w duchu postępowym. Jestem oczywiście daleki od jakiegokolwiek propagandy niemczyzny, ale uważam, że lud ten potrzebuje pewnej strawy duchowej...

Często sami nieopatrznie lejemy wodę na młyn propagandy adenauerowskiej⁵. Większość osadników, a przynajmniej spora część osadników, traktuje przecież swą bytność na tych ziemiach jako stan tymczasowości i z tym się wcale nie kryje — o tym mówi naszym ziomkom. Mało tego — egzamin i zmaterializowanie pewnej części ludności napływowej powoduje właśnie podburzanie miejscowych, przekonywanie ich do wyjazdu za Odrę⁶...

Chciałem się zapytać: co zrobiliśmy dla zwerbowania z powrotem tych, którzy stąd wyjechali, którzy często byli zmuszeni ziemię tę opuścić. Jest w Warszawie rzekomo jakaś komisja, której zadaniem jest werbowanie Polaków przebywających za granicą z powrotem[!]. Nie wiemy dokładnie, w jakich warunkach żyją nasi ziomkowie. Ale

3 „Gdzie kończy się kultura tam znajdziesz Mazur”.

4 *Arbeiter Stimme* — niemieckojęzyczna wersja *Głosu Pracy* wydawana we Wrocławiu. Mutacja olsztyńska *Arbeiter Stimme* ukazywała się krótko od listopada 1956 r., pod red. Tadeusza Z. Willana.

5 Konrad Adenauer (ur. 1876 r.), polityk zachodniemiecki, wówczas lider CDU, pierwszy kanclerz Republiki Federalnej Niemiec.

6 O ile w latach 1952—1955 wyjechało z województwa olsztyńskiego do obu państw niemieckich łącznie 1925 osób (w tym do Niemieckiej Republiki Demokratycznej 1770), to w ciągu 1956 r. 3102 osoby (z tego do NRD 1132). W ciągu pierwszych 2 miesięcy 1957 r. wyjechało 2547 autochtonów (w tym do NRD — 353). — Archiwum Państwowe w Olsztynie, KW PZPR, sygn. 1141/2056. Informacja Wojewódzkiej Rady Narodowej o akcji łączenia rodzin na terenie woj. olsztyńskiego — materiał na posiedzenie egzekutywy KW PZPR.

dowiadujemy się często, że żyją w nędzy. Niejednego nurtuje myśl o powrocie. Trzeba, aby władze partyjne, władze państwowe umożliwiły nam skontaktowanie się z naszymi rodakami za miedzą.

Nasza dotychczasowa polityka, to polityka z punktu widzenia tak zwanej „polskiej racji stanu”. Dlatego też nawet podchodzenie do spraw gospodarstw spornych nacechowane jest właśnie tą polityką z punktu widzenia „polskiej racji stanu”. Nie liczymy się absolutnie z losem tych miejscowych, którzy setki a przynajmniej dziesiątki lat walczyli z naporem germanizmu, utrzymali gospodarstwa — a teraz zostali z nich wyzuci. Nie mogą oni wrócić na swe gospodarstwa, bo tworzylibyśmy „ferment”, „zamieszanie”. A więc wniosek: ten osadnik jest nam miłszy od tego miejscowego — tak? Ja nie godzę się w tym wypadku ze stanowiskiem tow. Franka⁷. Mój pogląd na te sprawy jest inny. Tak jak tych półtora tysiąca miejscowych mogłoby przejść na nowe gospodarstwa, tak samo i tych półtora tysiąca osadników żyjących na tym gospodarstwie zaledwie 10 lat, może z powodzeniem na inne przejść.

Czas najwyższy — to powiedzmy sobie zupełnie jasno i otwarcie — aby nasi posłowie nie byli przedstawicielami Warszawy w woj. olsztyńskim, ale przedstawicielami woj. olsztyńskiego w Warszawie. I nie próbowali nam tłumaczyć konieczności „polskiej racji stanu” na Mazurach, ale racji mazurskiej w Polsce. Musimy uczynić wszystko, aby nasza droga, droga miejscowej ludności w Polsce Ludowej, która zapadła w moczary i bagna, została skierowana ku jaśniejszej, świetlanej przyszłości. Rzecz jasna, że my sami, działacze miejscowi, tego nie zrobimy. Jest to sprawą zbyt ciężką, prawie że wykluczoną, przekraczającą nasze siły i możliwości. Ale osiągniemy ten cel, jeśli wszyscy, a więc i miejscowi, i napływowi, zmieniając wiele z dotychczasowych pojęć i metody pracy, podejmiemy do tej sprawy w sposób nacechowany głębokim humanizmem, z myślą o człowieku.

14.

24 października — Komentarz redakcyjny „Nie dajcie się sprowokować!”

— *Głos Olsztyński*, nr 254.

Sprawa dotyczy rewolucji!

Sprawa dotyczy prowokacji przeciw rewolucji!

Od kilku dni serca nasze biją nowym tętnem. Program działania tow. Wiesława¹, zwycięstwo rewolucyjnego nurtu naszej partii nad kontrrewolucją, wyzwolenie naszej dumy narodowej — historyczna wielkość tych wydarzeń zespoliła nas wszystkich nierozdzielnie z socjalizmem. Idea socjalizmu stała się żywa, polska, nasza. Potężne demonstracje w Budapeszcie na cześć narodu polskiego, sympatia, jaką cieszy się w tych dniach nasz kraj w oczach bratnich narodów — to dowód naszego zwycięstwa, to poparcie naszej postawy.

Prawda zwyciężyła! Prawda mówi z żelazną logiką: sytuacja gospodarcza Polski jest napięta. Dzisiaj nas to nie przeraża. Stać nas na ofiarność, wyrzeczenie, na danie z siebie dużego wysiłku. Szerzy się w województwie zjawisko spontanicznego czynu społecznego,

⁷ Michal Frank, sekretarz propagandy KW PZPR w Olsztynie. Na konferencji wygłosił referat „Partia zdecydowanie walczy o naprawienie błędów minionego okresu w rozwiązywaniu problemu warmińsko-mazurskiego”.

¹ „Wiesław” — pseudonim partyjny Władysława Gomułki (ur. 1905 r.), 21 października 1956 r. wybranego na VIII Plenum KC KPZR na I sekretarza KC.

mnożą się wypadki zwracania państwu obligacji pożyczki narodowej i zrzekania się zwrotu pieniędzy za nie. Rodzi się wśród ludzi myśl zainicjowania nowej pożyczki narodowej.

Gospodarka polska zaczyna się dopiero dźwigać — zaś wolność, demokratyzacja naszego życia weszła już w stadium kulminacyjne. I tutaj: uwaga! Uwaga przed prowokacją.

Kontrrewolucyjne siły dążą do zakłócenia naszego marszu i skierowania go w bagno. Wrogowie postępu, by ratować swoje skóry, swoje brudne dusze — nie przebiorają w środkach. Starają się zniechęcić ludzi do działania, siać niewiarę w to, co się u nas dzieje. Metodą zastraszenia usiłują powstrzymać nasze działanie, wrogą plotką starają się osłabić naszą wiarę. Nie wierzymy im! Działajmy rewolucyjnie dalej. Są wysiłki, by naszą inicjatywę skierować na boczne tory, by naszą nienawiść do zła i zakłamania skierować nie w rzeczywistych jego sprawców — lecz na bezdroża. Boją się, że osiągnie ich nasza sprawiedliwość. Dlatego, by uciec przed naszym spojrzeniem, powiadają: wszystkiemu złu winni Żydzi. Inni starają się nas zmylić wskazując to na Związek Radziecki i każą go nienawidzić, to na Ukraińców, to na Mazurów... Duży jest arsenał prowokacyjnych chwytów. Lecz wszystkie objawiają się w ten sam sposób: złodziej krzyczy „łapaj złodzieja” i wskazuje na niewinnego. Nie dajmy się oszukać. Nie dajmy się oszukać najwsteczniejszej, śmiertelnej, wrogiej plotce: tej, że wierny, niezłomny bojownik partii i dumny Polak — tow. Wiesław — został sekretarzem za sprawą wizyty radzieckiej delegacji². Tak samo nie pozwólmy się szczuć przeciw naszemu sojusznikowi — narodowi radzieckiemu. Pamiętajmy: suwerenna Polska związana jest nierozzerwalną przyjaźnią z rosyjskim bratem. To jest konieczne do naszego istnienia i przyjaźń ta na zasadach równości i wzajemnego szacunku — jest jednym ze źródeł naszej wielkiej siły.

Walczymy o mocną, suwerenną, socjalistyczną Polskę. Dlatego, człowieku, który wierzysz w socjalizm — Nie daj się sprowokować!

15.

26 października — „List z Warmii i Mazur” — Słowo Powszechno, nr 256 (por. niżej dok. 16).

Do Redakcji „Słowa Powszechnego”

Stowarzyszenia PAX

Piszemy ten list z Warmii i Mazur, ziemi, której córki i synowie mają specjalnie dużo powodów do tego, by z radością powitać początek procesu Wielkiej Odnowy, idącej dziś przez cały nasz kraj. Radość nasza ma swe źródło w tym, że Polska, która przed 12 laty wróciła na naszą umęczoną ziemię dla wielu Mazurów i Warmiaków, czekających na Nią z utęsknieniem, okazała się nie troskliwą, serdeczną matką, lecz macochą, dopuszczającą niesprawiedliwości i krzywdy. Ten niedobry, na szczęście bezpowrotnie miniony okres, nie zdołał jednak w nas zabić wiary w to, że zatriumfują wreszcie praworządność i sprawiedliwość, o które przez tyle długich lat daremnie nasz lud zabiegał.

Szkoda jednak, że radość nasza zmacona została pewnymi faktami, nad którymi my, synowie Warmii i Mazur, ludzie głęboko wierzący, przepojeni szczerą troską o przyszłość

² Delegacja Prezydium KC KPZR z Nikitą S. Chruszczowem na czele przebywała w Warszawie 19–20 października 1956 r.

naszej Wiary św. w odradzającej się dziś Polsce — nie możemy przejść do porządku dziennego.

Chodzi nam o nagonkę przeciw ruchowi społecznie-postępowemu i przewodniczącemu Stow. „Pax” Bolesławowi Piaseckiemu¹, jaką mogliśmy w ostatnich dniach zaobserwować na łamach niektórych gazet. Nagonka ta, wyraźnie organizowana przez ludzi dążących do rozbicia ruchu społecznie-postępowego odnosi wprawdzie w terenie skutek wręcz odwrotny niż ten, ku któremu zmierzali inspiratorzy, bo postępowe siły katolickie jeszcze mocniej skupia wokół Stowarzyszenia „Pax” — niemniej jest zjawiskiem niemoralnym, szkodzącym sprawie jedności narodu, zjawiskiem, w którym niepokojąco pobrzmiewają tak ostro potępione przez VIII Plenum dawne metody łamania i szkalowania ludzi.

Wielki jest dług wdzięczności, jaki ludzie urodzeni na Warmii i Mazurach zaciągnęli u Stow. „Pax” w minionym, tak gorzkim dla nas okresie. Wydawane na naszym terenie jako tygodniowy dodatek do „Słowa Powszechnego”, „Słowo na Warmii i Mazurach”² towarzyszyło nam przez cały czas, budząc poczucie łączności z Macierzą, tłumione bardzo skutecznie nieodpowiedzialnymi pociągnięciami różnych miejscowych dygnitarzy. Wydawnictwa książkowe „Pax”-u umożliwiały ludowi Warmii i Mazur poznanie historii ojczystego kraju, ukochanie innych jego regionów. Dzięki pracy działaczy Stow. „Pax” ludzie wierzący odnajdywali właściwą drogę, pozbywali się dręczącego wielu z nich niepokoju sumienia, coraz pełniej włączali się w budownictwo socjalistyczne dostrzegając w nim, poza ogromem wykrzywień i wypaczeń wielki, czysty moralnie, godny największej ofiarności cel.

W tym, że w morzu krzywd i niesprawiedliwości, jakie w latach ubiegłych zalewało nasz lud, nie zatoniła do reszty polskość wielu Warmiaków i Mazurów, że nie zatopiło ono budzącej się dopiero w tym ludzie społecznej aktywności — jest wielki wkład wytrwałej, w jakże trudnych warunkach prowadzonej pracy uświadamiającej Stow. „Pax”, w której tak ogromny udział posiadał i posiada Bolesław Piasecki.

Już to tylko zmusza nas do stanowczego zaprotestowania przeciw oszczerczej kampanii, wymierzonej w „Pax” i jego przewodniczącego. Dziś bowiem, gdy rozwój sytuacji politycznej w Polsce dał nam możliwość podjęcia wielkiej odnowicielskiej pracy na terenie Warmii i Mazur nie wolno nikomu prowadzić kampanii, której ostatecznym celem może być jedynie zahamowanie postępowych procesów, zachodzących w ludziach wierzących i rozdarcie tak bardzo nam dziś potrzebnej jedności.

My, działacze z Warmii i Mazur, zbyt jednak dobrze znamy metody szkalowania ludzi i przypisywania im nie popełnionych grzechów, zbyt boleśnie odczuliśmy na własnej skórze rezultaty tych praktyk — by dziś, w obliczu nieodpowiedzialnych, choć na szczęście chybiających celu prób ich wznawiania — nie odciąć się w sposób jak najbardziej stanowczy i poważny.

¹ Bolesław Piasecki (ur. 1915 r.), działacz polityczny, przewodniczący Stowarzyszenia PAX. 16 października na łamach „Słowa Powszechnego” opublikował artykuł „Instynkt państwowy”, który spotkał się z gwałtowną polemiką w prasie.

² Pierwszy numer Słowa na Warmii i Mazurach, redagowanego przez warszawskiego dziennikarza Leona Wernica, ukazał się 20 grudnia 1952 r.

Maria Zientara-Malewska³, Michał Lengowski⁴, Alojzy Śliwa⁵,
Marta Sendrowska⁶, Władysława Knosała⁷, Tadeusz Stępowski⁸.

16.

27 października — Maria Korolkiewicz¹, „Czego bronią” — *Rzeczywistość*, nr 30
(por. wyżej dok. 15).

We wczorajszym, piątkowym numerze „Słowo Powszechnie” opublikowało list grupy działaczy katolickich z terenu Warmii i Mazur, zawierający protest „przeciwko oszczerczej kampanii”, wymierzonej w PAX i jego przewodniczącego, jaką rzekomo rozpętano „na łamach niektórych gazet”.

List ten i jego jakże przejrzysta intencja na pewno boleśnie dotkną wielu uczciwych ludzi, od lat związanych z katolickim ruchem społeczno-postępowym, wielu ludzi, którzy kredytem osobistego zaufania obdarzają takich zasłużonych działaczy ziemi warmińsko-mazurskiej, jak Maria Zientara-Malewska, Michał Lengowski, Alojzy Śliwa, Marta Sendrowska, Władysława Knosała² i Tadeusz Stępowski. Bo treści tego listu nie sposób określić inaczej jak oburzający.

Za czym się opowiadają, czego bronią i przeciwko czemu protestują wymienieni wyżej autorzy listu z Warmii i Mazur?

Spółceństwu polskiemu znany jest na ogół dobrze publikowany niedawno w prasie katolickiej artykuł przewodniczącego Stowarzyszenia PAX Bolesława Piaseckiego, artykuł pt. „Instynkt państwowy”³. Społeczeństwo polskie zrozumiało dobrze, jak bardzo wsteczna i sprzeczna z naszymi dążeniami dalszej demokratyzacji i odnowy życia polityczno-społecznego jest tendencja tego artykułu. Bolesław Piasecki pisze:

„Po okresie milczenia słusznie było nawet zafundować sobie luksus w nieodpowiedzialnej dyskusji. Po to, by rozbudzić i umocnić potrzebę i poczucie celowości myślenia o sprawach państwowych u najszerszych mas obywateli. Obecnie jednak nie wolno tego luksusowego okresu przedłużać, gdyż stanu tego nie wytrzyma autorytet władzy państwowej”.

„Należy powiedzieć więcej; jeśli nie ujmijemy dyskusji w ramy odpowiedzialności, zamiast demokratyzacji sprowokujemy procesy konieczności brutalnego realizowania racji stanu w okolicznościach podobnych do ogłoszenia stanu wyjątkowego (podkr. moje)”.

Nie są to bynajmniej, jak chce Mikołaj Rostworowski⁴, niefortunny obrońca też

3 Maria Zientara-Malewska (ur. 1894 r.), *Warmiaczka, nauczycielka, poetka*.

4 Michał Lengowski (ur. 1873 r.), *Warmiak, poeta ludowy*.

5 Alojzy Śliwa (ur. 1885 r.), *Warmiak, poeta ludowy, pracownik oddziału olsztyńskiego Stowarzyszenia PAX*.

6 Marta Sendrowska (ur. 1909 r.), *Warmiaczka, sekretarz redakcji Słowa na Warmii i Mazurach*.

7 W tekście błędny zapis imienia. Władysława Knosała (ur. 1908 r.) z d. Styp-Rekowska, nauczycielka, działaczka społeczno-oświatowa.

8 Tadeusz Stępowski (ur. 1908 r.), *literat, działacz społeczno-kulturalny, pracownik oddziału olsztyńskiego Stowarzyszenia PAX*.

1 Maria Korolkiewicz, dziennikarka działu społeczno-kulturalnego *Głosu Olsztyńskiego*.

2 W tekście imię i nazwisko podano błędnie.

3 Artykuł ukazał się w *paxowskim Słowie Powszechnym* 16 października. W trzy dni później B. Piasecki opublikował „Warunki dialogu”, będące pewną modyfikacją też „Instynktu państwowego”.

4 W tekście nazwisko podano błędnie. Mikołaj Rostworowski, publicysta, członek Zarządu Głównego Stowarzyszenia PAX.

Piaseckiego, wyrwane z kontekstu cytaty. Są to zdania, które najpełniej i najwierniej oddają wszystko co pan Piasecki miał do powiedzenia w swoim dość długim i zawiłym „credo” politycznym: negację wartości wielkiej, ogólnonarodowej dyskusji, przekonanie o potrzebie zakończenia tej dyskusji i cofnięcia wstecz procesu demokratyzacji. Na łamach „Ekspresu Wieczornego”⁵, „Życia Olsztyńskiego”⁶ ukazały się natychmiast wypowiedzi dające zdecydowaną odprawę nieodpowiedzialnemu, antypartyjnemu i antyludowemu wystąpieniu Bolesława Piaseckiego. Prasa polska raz jeszcze dowiodła, jak czujnie strzeże zasad demokratyzacji, jak bardzo zasłużyła na swoje dobre imię w opinii narodu. Równocześnie VIII Plenum potwierdziło w pełni fiasko ideowych założeń i fiasko tych wszystkich, którzy stawiali nie na postęp, a na regres w naszym życiu politycznym, społecznym i gospodarczym.

Autorzy „Listu z Warmii i Mazur” nie potrafili jednak dostrzec bankructwa koncepcji wyrażonych przez pana Piaseckiego. Autorzy „Listu” dostrzegli tylko nagonkę przeciwko Stowarzyszeniu PAX i jego przewodniczącemu. I tylko to mąci im radość, jaką odczuwają w związku z zapoczątkowanym „procesem odnowy”. „List z Warmii i Mazur” nie jest pozycją zresztą odosobnioną. W tym samym numerze „Słowa” poświęcono jednocześnie pół kolumny na druk protestów przeciwko „szkalowaniu i oszczerczym atakom prasowym” na Bolesława Piaseckiego, którego osobę utożsamia się przy tym — naprawdę nie wiadomo z jakiej racji — z całym Stowarzyszeniem PAX. Ton i sens tych wypowiedzi jest identyczny z „Listem z Warmii i Mazur”. A więc może po prostu [jest to] kampania redakcyjna, kampania, do której niebacznie dali się wciągnąć tak cenieni działacze Warmii i Mazur, jak Malewska, Lengowski i Śliwa?

Jedno jeszcze trzeba dodać. Nie ma i nie było „nagonki” na osobę przewodniczącego, ani na całą grupę Stowarzyszenia PAX. Jest natomiast i będzie zdecydowane odcięcie się od poglądów reprezentowanych w artykule pana Piaseckiego. I to nie tylko ze strony prasy polskiej, ze strony szerokich rzesz partyjnych i bezpartyjnych, ale również ze strony najbardziej postępowych, czołowych działaczy i pisarzy katolickich, z których ostatnim oświadczeniem⁷ powinni zapoznać się bliżej autorzy „Listu z Warmii i Mazur”.

17.

27 października — Komentarz redakcyjny „Plenum trwa” — Głos Olsztyński, nr 257.

Pierwszy dzień obrad¹ pozwala na pierwszą ocenę sytuacji politycznej, jaka miała miejsce w województwie w ostatnim czasie. Pełne powagi i odpowiedzialności słowa, jakie padają z trybuny Plenum, składają się na obraz, który z dotąd niespotykaną wyrazistością oświetla stosunek instancji partyjnej do mas partyjnych, kierownictwa partyjnego do ludzi, dla których instancja ta ma być przewodnikiem i nauczycielem.

Bolesnie i gorzko brzmiały słowa pierwszego sekretarza Komitetu Wojewódzkiego². „...Nasza egzekutywa została wyprzedzona przez żywiołowy, ale naturalny rozwój...”. Właśnie! — naturalny rozwój! Oznacza to dużo, bardzo dużo. Naturalny rozwój — to

⁵ *Express Wieczorny* — popołudniówka warszawska.

⁶ *Życie Olsztyńskie* — dziennik, mutacja *Życia Warszawy*.

⁷ *Grupa 25 działaczy katolickich utworzyła 23 października 1956 r. Ogólnopolski Klub Postępowej Inteligencji Katolickiej.*

¹ *Nadzwyczajne, poszerzone plenum Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Olsztynie obradowało w dniach 26—27 października.*

² *Jan Klecha.*

znaczy: życie. To znaczy: pragnienia mas, dążenia mas, to oznacza wszystkie procesy, jakie przez długi czas dojrzewały w ludziach, aż w pewnym momencie wybuchły i wtedy nie było siły, która by je zahamowała. VIII Plenum³ spowodowało, że wytrysnęło to, co nas nurtowało: pragnienie prawdy, pragnienie, by czyny odpowiadały słowom, wielkie żądanie uczucia się odpowiedzialnym gospodarzem tego, co wypracujemy. To był głęboki, życiowy proces myślowy, który zamieniony w działanie musi prowadzić do socjalizmu. I tego procesu, który uzewnętrznił się w postaci spontanicznego wybuchu poparcia dla VIII Plenum — tego procesu, dojrzewającego w społeczeństwie od dawna — nie dostrzegała część egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego. Nie dostrzegała go, nie potrafiła mu przewodzić i zamienić w konkretne czyny. Więcej nawet: była obawa przed tym potężnym nurtem, uwagę zwracano nie na jego istotę i życiodajną siłę, ale na zjawiska uboczne, wsteczne, które w niektórych wypadkach towarzyszyły temu procesowi. Ta powierzchowna ocena wypadków, według tego — jak powiedział I sekretarz KW — według tego „co złe, według piany w nurcie”, spowodowała, że nie dostrzegano tego, co płynęło w środku i w głębi tego nurtu — nie dostrzegano, że jest to entuzjastyczne poparcie programu partii.

Z tym momentem egzekutywa Komitetu Wojewódzkiego, część ludzi z egzekutywy, znalazła się nie na przedzie tego nurtu, ale w końcu, przestała być świadomą, samodzielną awangardą, a stała się obserwatorem wydarzeń. Z tym momentem nie mogło być mowy o samodzielnej inicjatywie kierownictwa partyjnego — natomiast faktem stało się wyczekiwanie na nastawienie i instrukcję instancji nadrzędnej.

Dlaczego tak się stało?

Źródła powstały wcześniej, znacznie wcześniej niż ostatnie dni. Z trybuny Plenum padły sformułowania mądre i wnikliwe o sprawach, które są kamieniem węgielnym kierownictwa partyjnego: o więzi z masami, samodzielnej inicjatywie, wyczuwaniu faktycznych nastrojów mas i życia nimi.

To są źródła sytuacji, w której znalazła się egzekutywa KW. Tu też jest źródło postępowania nie tylko Komitetu Wojewódzkiego.

„P r z e m i a n a — to lipa...”

Padły te słowa w przemówieniu delegatki kobiet m. Lidzbarka wygłoszonym na plenum KW. Skąd się te słowa wzięły? Jaka fala je przyniosła? Skądże ten wyraz rozczarowania? Skąd???

Masy ruszyły zgodnym szturmem na bastiony zła, nieprawości i krzywd minionych i bezpowrotnych czasów. Masy uwierzyły w program partii, masy otworzyły serca, uczucia, myśli. I nagle...

...Stop! Masy zostały powstrzymane. Zostały powstrzymane w Lidzbarku i innych miastach województwa. Powstrzymane przez tych, którzy im nie uwierzyli, przez tych, którzy na czoło dnia wysunęli sprawę instrukcji i wytycznych, przez tych, którzy nie byli pewni trwałości przemian ostatnich dni.

Przez cztery długie dni nie mógł się Komitet Powiatowy w Lidzbarku zdecydować na to, czy „pozwolić” masom wyjść na ulice, czy też nie? Cztery długie dni, nabrzmiałe tętnem ludzkich serc, dni bierności instancji partyjnej — podsunęły ludziom słowa: „Przemiana — to lipa”...

Czy istotnie „lipa”? Niemądre jest to pytanie.

³ VIII Plenum KC PZPR obradowało w dniach 19—21 października wybierając w tajnym głosowaniu nowe Biuro Polityczne i Sekretariat KC.

Cóż znaczy dla huraganu zwiedły liść? Nie w liść, w zwiedły liść, trzeba nam wierzyć — lecz w huragan. W huragan, który gra w naszych sercach, w huragan, co zmiata ze swojej drogi wszystko, co słabe, anemiczne, niezdolne do życia bez instrukcji.

KP Lidzbark żądał instrukcji. Wola mas nie wydała mu się wystarczającą instrukcją. Więc masy nie zaufały swojej instancji partyjnej. Straszna to rzecz — brak zaufania mas. Rzecz to okropna.

Plenum trwa. Trzeba nam wierzyć, że Plenum wyjdzie do mas z mądrą i sprawiedliwą oceną sytuacji. Trzeba nam wierzyć w nasze własne, ludzkie uczucia, zaufać własnym sumieniom.

Przed nami praca. Ciężka praca. Ona jest hasłem dnia. Zadokumentujmy więc pracę wartość i wielkość naszych uczuć. Nie wysuwajmy na pierwszy plan zwątpienia. Od nas zależą rezultaty przemian. A jeśli czas na to pozwala — dokonujemy obrachunków. Obrachunków z tymi, którzy nas zawiedli, którzy nam nie wierzyli. Lecz bądźmy w tych obrachunkach rozważni, bądźmy mądrzy. W naszą — mas mądrość, wierzy partia. A partia wszak znaczy coś więcej niżli człowiek, który zawiódł.

18.

27 października — Władysław Ogrodziński¹, „Nie ludźmy się, że historia Mazur i Warmii jest tylko sprawą lokalną² — Rzeczywistość, cz. I: nr 30 z 27 X; cz. II: nr 31 z 3 XI.

Referat prof. dr. St. Herbsta³, postulujący odnowienie regionalnych badań historycznych, zbiega się w środowisku olsztyńskim z daleko idącą rewizją poglądów i metod działania, które obowiązywały w drugiej połowie dziesięciolecia Polski Ludowej. Z toczącej się dyskusji wynika jasno, że przejawy życia regionalnego Warmii i Mazur nie dały się zlikwidować na drodze administracyjnych zaprzeczeń. Okazuje się również, że jedynym wynikiem zaniedbania badań nad istotą i sensem miejscowych odrębności jest wybitny kryzys poznania naukowego szeregu ważnych życiowo dziedzin.

Jeśli więc dzisiaj uznaje się potrzebę naukową i przydatność badań regionalnych w zakresie historii, jeśli podkreśla się jej znaczenie dla prac nad syntezą historii Polski, zjawisko to musi wywołać oddźwięk w naszym środowisku, gdzie wola poznawania przeszłości idzie przeważnie w parze z nakazem sumienia patriotycznego i z gorącą pasją oraz umiłowaniem, na jakie z szeregu względów zasługuje mazursko-warmiński skrawek naszej ojczyzny.

Jednakże na potrzebę badań regionalnych trudno patrzeć tylko z perspektywy dotychczasowej degradacji intelektualnej prowincji i podporządkowania tej ostatniej chłodnym, centralistycznym racjom. Trudno ją nawet oceniać tylko z punktu widzenia marniejących zasobów i sił.

Badania regionalne nie są same w sobie wartością jednoznacznie pozytywną. Stanowią raczej czynnik potencjalny, przedmiot starannej i celowej polityki kulturalnej

¹ Władysław Ogrodziński (ur. 1918 r.), historyk, publicysta, wówczas asystent w Stacji Naukowej Polskiego Towarzystwa Historycznego w Olsztynie.

² Artykuł jest wersją referatu wygłoszonego w Sekcji Badań Regionalnych Walnego Zjazdu Polskiego Towarzystwa Historycznego (Warszawa, 19–21 października). W skład delegacji olsztyńskiej wchodził: Emilia Sukertowa-Biedrawina, dr Tadeusz Grygier, mgr Antoni Łukaszewski, mgr Władysław Ogrodziński, Stanisław Szostakowski i mgr Wojciech Wrześniński. Oprócz W. Ogrodzińskiego, referaty przedstawił na Zjeździe także E. Sukertowa-Biedrawina i T. Grygier.

³ Stanisław Herbst (ur. 1907 r.), historyk, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, prezes Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Historycznego.

oraz naukowej. Oscylują i będą oscylowały pomiędzy skłonnościami do lokalnych przerostów i centralnych uproszczeń, pomiędzy mieliznami oddolnych amatorstw a rafami odgórnego utylitaryzmu. Dlatego też sprawa ich będzie wymagała jeszcze dłuższej i precyzyjnej dyskusji, konkretnych ustaleń programowych. Choćby tylko dlatego, że nie stać nas na luksus zbyt obszernej, ani też zbyt wąskiej inicjatywy regionalnej, nie stać nas na sprowadzenie do wspólnego mianownika różnych często zjawisk o niejednorodnym zasięgu i oddziaływaniu. Istnieją przecież w naszym kraju różnego rodzaju regiony geograficzne, historyczne i kulturalne. Istnieje rozległa skala wartości regionalnych od ściśle naukowych po aktualno-społeczne i aktualno-polityczne.

Mówię jako człowiek środowiska, którego doświadczenia i bolączki zasługują na szczególną troskę i wnikliwość zarówno z pierwszych (naukowych), jak i pozostałych (politycznych i społecznych) względów. Mówię, nawiązując do tego, co powiedziała już w swoim zakresie p. Emilia Biedrawina i dr Tadeusz Grygier. Cechą naszego regionu jest szczególnie rozległy zakres obowiązków badawczych i krąg oddziaływania nauki historycznej. Obok niewątpliwych i daleko idących możliwości rozszerzenia polskiej wiedzy o Pomorzu Mazowieckim, obok poważnego wkładu w naukę krajową — przed historią jako dyscypliną naukową stoją na Mazurach i Warmii wymogi współdziałania w procesie tworzenia się żywego społeczeństwa tej ziemi na zasadzie zachowania związków kulturalnych pomiędzy rodzimą polskością kraju i ludzi a zasilającym ją strumieniem nowego osadnictwa. To praktyczne zadanie, utrudnione niepomiarowo przez błędy przeszłości, przez szczupłość kadr naukowych i środków, przez ogromne zaległości teoretyczne i organizacyjne — nie znajduje poza ziemiami odzyskanymi żadnych analogii.

Można się spierać, czy i o ile wymienione tu zadania dotyczą bezpośrednio warsztatu badacza naukowego, którego rola społeczna sprowadzać się winna przede wszystkim do możliwie najpełniejszego i najsumienniejszego opanowania swej specjalności. Niemniej dla każdego, kto żyje i pracuje na naszym terenie, obowiązek tego rodzaju jest oczywisty i musi być wypełniany w oparciu o jedynie skuteczne narzędzie: gruntowną znajomość przeszłości.

Ale nie jest to ani jedyna, ani najtrudniejsza funkcja historyka regionalnego Mazur i Warmii, funkcja dostrzegana ostatnio z nieznaną do niedawna ostrością. Inną — znacznie poważniejszą — jest nie powszechna i nie typowa w większości regionów polskich i jako taka nie znalazła odbicia w referacie prof. dr St. Herbsta. Są to międzynarodowe powiązania polskiego dorobku regionalnego na Pomorzu Mazowieckim. Jest to dziedzina naszych obowiązków, której na razie nie jesteśmy w stanie sprostać. Na tym wycinku działalności regionalnej pragnę przede wszystkim skupić uwagę słuchaczy.

Ostatnimi czasy na teren Olsztyna zaczynają przeciekać na wół prywatnymi drogami coraz liczniejsze wydawnictwa zachodniemieckie, których lektura pozwala zdać sobie sprawę z niesłychanych naszych zaniedbań oraz wskazuje na aktualne postulaty pracy historyczno-regionalnej na naszej ziemi. Pierwsze, bardzo niekompletne, wnioski z tej lektury są następujące:

1. Łudzimy się sądząc, że polskie badania regionalne Pomorza Mazowieckiego dadzą się zamknąć w kręgu wewnątrzno-krajowych zainteresowań i służą li tylko jako pomoc w podbudowywaniu syntezy historii Polski.
2. W ciągu długich lat złudzeń powstały uderzające dysproporcje pomiędzy niemiecką produkcją wydawniczą na tym polu, dysproporcje na naszą zupełną niekorzyść. Dotyczą

one przede wszystkim systematyczności i ciągłości badań, rozmiarów oraz koncepcji działania i oddziaływania na opinię krajową i zagraniczną — szczególnie zaś możliwości wydawniczych.

3. Ostatnie lata przyniosły w tym względzie przesunięcia wyraźnie niekorzystne. Jedną z ilustracji tego niech będzie fakt, że po roku 1949 z mapy ośrodków wydawniczych, rywalizujących o te ziemie, zniknął Olsztyn, gdzie nie publikuje się żadnych wydawnictw naukowych z wyjątkiem rolniczych.

W chwili obecnej działają w Niemczech Zachodnich co najmniej trzy poważniejsze ośrodki, zajmujące się trwale i systematycznie obszarem dawnych Prus Wschodnich. Są to: „Göttinger Arbeitskreis Ostdeutscher Wissenschaftler” (zał. w r. 1946), „Johann Gottfried Herder Institut” w Marburgu (zał. w r. 1950) oraz środowisko regionalne w Leer we wschodniej Fryzji. Mówiąc słowami głośnego bibliografa Prus Wschodnich i Zachodnich Ernsta Wermkego, dwie pierwsze placówki rozwinęły się w centrale naukowe, zainteresowane „Niemcami Wschodnimi”. Miały one wpływ na ukazanie się prawie wszystkich co ważniejszych publikacji historycznych o b. Prusach Wschodnich i Zachodnich.

„Göttinger Arbeitskreis” postawił sobie poza tym za cel stworzenie czegoś co potocznie określa się jako „Königsberg in Göttingen”. Jego działalność, nawiązująca do tradycji i kadr b. Uniwersytetu Królewieckiego stara się wykazać, że mimo zupełnego przewrotu stosunków na Pomorzu Mazowieckim i w otaczających je ziemiach nadbałtyckich, środowisko naukowe dawnego Królewca zachowało nadal żywotność, prężność rozwojową i zdolność do legitymowania się obfitym dorobkiem naukowym i wydawniczym. „Göttinger Arbeitskreis” opublikował w ciągu dziesięcioletniego istnienia około 150 wydawnictw naukowych i propagandowych o nakładzie ok. 350 000 egz., zainicjował 13 różnych periodyków, z czego 7 w językach obcych, rozesał ok. 6 500 informacji i 700 komentarzy prasowych, nawiązał wymianę wydawnictw z instytucjami naukowymi w 26 państwach na całym świecie.

Tę obfitą produkcję wydawniczą podbudowano starannie opracowaną argumentacją polityczną, która w wydawnictwach „Göttinger Arbeitskreis” góruje wyraźnie nad celami naukowymi. Przede wszystkim żąda się tą drogą uznania dla hasła rewizjonistycznych w imię wspólnoty europejskiej, głosi się dewizę, że „zagadnienie wschodnie stanowi kwestię największego formatu, być może najdonioślejszą dla najbliższego pokolenia”. Podkreśla się prawo wysiedlonych do ściślejszej ojczyzny (das Recht auf die Heimat) oraz prawo samookreślenia ludności. Wygrywa się jednostronnie motywy humanitarne na korzyść niemieckiej strony rewizjonistycznej. Naukowcy z Getyngi, Marburga czy Leer starają się przy tym stworzyć pozory, że „wstrząs roku 1945, pomimo wyrządzonego Niemcom wschodnim bezprawia, uciszył wszelkie akcenty nacjonalistyczne [i że] większość prac [wydanych przez te instytucje] napisana została nie w nienawiści i w zacietrzewieniu, lecz z wiarą w ideę porozumienia i pojednania narodów”.

Ta strona działalności regionalnej na nowych ziemiach Polski, w regionach historycznych zarówno mało znanych, jak narażonych na pretensje rewizjonistyczne, nie znajdowała do tej pory należytego zrozumienia i praktycznego rozwiązania. Tym bardziej zasługuje więc na baczną uwagę i dyskusję w chwili, kiedy zaczyna się mówić o naukowym traktowaniu zagadnienia regionalnego⁴.

Daleki jestem, aby z tego miejsca wysuwać jakies propozycje, które by stanowiły pełną

⁴ *Koniec pierwszej części artykułu.*

replikę faktów, jakie mają miejsce w rewizjonistycznych ośrodkach NRF, aby formułować gotowy program skutecznego wyrównania środków i sił. Pragnę wskazać tylko na nieodzowną konieczność rozsądnego przeciwstawienia się tamtym poczynaniom. Olsztyński ośrodek regionalny, jeśli tylko stworzono by mu odpowiednie warunki działania, byłby w stanie ustosunkować się właśnie do międzynarodowej strony zagadnienia i stać się czynnikiem niewątpliwej i skutecznej rywalizacji.

Nasza słaba aktywność w zakresie historii regionalnej Mazur i Warmii znalazła już swe miejsce w arsenale rewizjonistycznych argumentów, przy pomocy których urabia się opinię międzynarodową. W oparciu o nie usiłuje się dowodzić, że rządy polskie jako „landfremde” nie są związane z podglebieniem pomorsko-mazowieckim żadnymi istotnymi więzami kulturalnymi, a przykładem tego jest fakt, że polska aktywność publicystyczna, a zwłaszcza publicystyczno-naukowa na odcinku b. Prus Wschodnich, tak widoczna w okresie międzywojennym wyczerpała się w pierwszych latach po wyzwoleniu. Także istniejące przed wojną niemieckie ośrodki myśli humanistycznej nie zostały do tej pory zastąpione przez równorzędne instytucje polskie.

Wydaje się, że tych kilka luźnych przykładów wystarczy, aby dowieść, że sprawa działalności kulturalnej i naukowej na Mazurach i Warmii przestała być tylko wewnętrznym zagadnieniem naszego regionu, lecz wyrosła na problem znacznie poważniejszy.

Wypada zresztą dodać, że obiektywnie rzecz biorąc, obraz polskich zainteresowań historycznych Mazurami i Warmią jest znacznie korzystniejszy niżby to wynikało z powierzchownej oceny. Zainteresowania te nie są ani błahe ani przypadkowe i sięgają do kilku centrów uniwersyteckich oraz pozauniwersyteckich. Wskutek rozproszenia i znacznego zindywidualizowania nie znajdują one jednak odpowiedniego wyrazu zewnętrznego.

Taki stan rzeczy łączy się w jakiś sposób ze słabością organizacyjną ośrodka olsztyńskiego, do którego z natury rzeczy powinni ciążyć wszyscy badacze zajmujący się problematyką regionalną. Stanowi on także w pewnej mierze ilustrację niskiego poziomu naszej informacji naukowej o badaniach pomorsko-mazowieckich, prowadzonych w kraju i za granicą. Stworzenie Olsztynowi choćby skromnych możliwości publikacyjno-naukowych wprowadziłoby z miejsca poważne zmiany w tej mierze i pozwoliłoby na wyrowadzenie go ze stanu tragicznej bezsily.

W chwili obecnej wytworzyła się u nas jedyna w swoim rodzaju i paradoksalna sytuacja. Nie za bardzo wiemy, co robi się na polu naukowym w kraju w specjalności pomorsko-mazowieckiej. Nikłe wiadomości o stosunkach za granicą zawdzięczamy prywatnej uprzejmości przyjaciół i kolegów, mieszkających w szczęśliwych, pozaregionalnych centrach. A w zakresie możliwości publikacyjnych?... Najlepsi znawcy zagadnienia, jeśli pragną ujrzeć w druku swe prace, skazani są na niezwykle i skomplikowane kompromisy.

Aby opublikować owoce długoletnich oryginalnych poszukiwań oraz studiów, muszą oni korzystać ze zrozumienia, z jakim ostatnio odniosły się władze lokalne do sprawy popularyzacji historii. Przystosowują tedy najpierw posiadane materiały do potrzeb wystaw historycznych, jakie urządza się w Olsztynie z godnym wzmianki nakładem starań. Tak sprecyzowane resztki przykrawają do ram obszernych wprawdzie, ale tylko przewodników wystawowych, jedynych wydawnictw historycznych o jakimś poziomie naukowym, które drukuje się w Olsztynie. Pytanie, czy jest to najwłaściwszy sposób wykorzystywania owoców poważnej pracy naukowo-badawczej, pozostawiam bez odpowiedzi jako czysto retoryczne.

Obecnie w Olsztynie mówi się coraz częściej o realnych warunkach istnienia własnego periodyku naukowego poświęconego dyscyplinom humanistycznym. Istnieją projekty powołania rocznika w oparciu o Muzeum Mazurskie lub miesięcznych czy dwumiesięcznych komunikatów Stacji Naukowej PTH. Realizacja tych projektów stworzyłaby zupełnie inne niż do tej pory szanse racjonalnej pracy naukowej w naszym mieście. Otwarłaby ona szerokie pole koncentracji prac rozsypanych dziś przypadkowo po rozmaitych czasopismach. Zakończyłaby szkodliwy pod każdym względem stan, w którym publikacja materiałów naukowych, dotyczących Mazur i Warmii zależna była od doraźnych potrzeb organów pozaregionalnych. Powstałyby nareszcie szanse nawiązania stosunków wymiennych z wydawnictwami krajowymi i zagranicznymi, co stanowi warunek zaspokojenia palącej potrzeby systematycznego korzystania z bieżącej literatury fachowej. Dałoby możliwość zorganizowania informacji naukowej i bibliograficznej, opartej o niezbędne zasoby biblioteczne. Są to jednak tylko projekty, które bez stworzenia im podstaw finansowych pozostaną w sferze pobożnych życzeń.

Jak na razie stosunek potrzeb wydawniczych Olsztyna do jego możliwości przedstawia się następująco. Istnieją w mieście dwa dodatki społeczno-kulturalne do dzienników⁴ i dwutygodnik regionalny⁵. Żadne z tych pism nie posiada zdecydowanych zainteresowań historyczno-popularyzatorskich, wynikających z konsekwentnego programu. Ich troska o istniejące przecież środowisko historyczne i naukowe nie wykracza poza normalną w całej prasie życzliwą obojętność. W porównaniu do stanu przedwojennego i aktualnego rozmachu periodyków rewizjonistycznych potencjał ten jest mniej niż skromny. W b. Prusach Wschodnich regionalizm niemiecki dysponował około 70 wydawnictwami periodycznymi, w przeważnej mierze historycznymi i popularno-historycznymi. Niemcy zachodnie utrzymują do dziś dnia 28 periodyków zainteresowanych częścią lub całością zagadnień „wschodniopruskich”.

Wydaje się, że te dysproporcje i płynące z nich niebezpieczeństwa winny być zasygnalizowane właśnie na tym miejscu.

19.

15 listopada — Bohdan Kurowski¹, „Skończyć z wiecowaniem” — Warmia i Mazury, nr 15.

Kilka „wiecowych dni” w Olsztynie stało się powodem wielu osobistych konfliktów działaczy partyjnych usiłujących na wiecach znaleźć wspólny język z masami. Na czym te konflikty polegały, co je rodziło?

Żeby to wyjaśnić — trzeba powtórzyć po raz nie wiadomo który, że panowanie stalinowskiego reżimu w Polsce było okresem wielkiej obłudy w życiu społecznym i politycznym. Na wzajemnym oszustwie i obłudzie zasadały się też stosunki między władzą a masami, między górą partyjną a szeregowymi członkami partii. Wszyscy się w jakimś sensie nawzajem oszukiwali. Proces odizolowywania się od mas i przeciwstawiania się masom zbiurokratyzowanego aparatu wywoływał identyczną, a w odwrotną

⁴ *Trybuna Młodych* — dwutygodnik młodzieży Warmii i Mazur. Pod Mickiewiczowskim hasłem „Razem młodzi przyjaciele” ukazywał się od 1 marca 1956 r. jako organ Zarządu Wojewódzkiego Związku Młodzieży Polskiej.

⁵ *Warmia i Mazury* — dwutygodnik, ukazywał się od maja 1955 r. (początkowo jako miesięcznik pod nazwą *Mazury i Warmia*) — w 1956 r. redaktorem naczelnym był Jan Aleksander Król.

¹ Bohdan Kurowski (ur. 1933 r.), absolwent rocznej Szkoły Dziennikarskiej Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w Warszawie (1954 r.), publicysta dwutygodnika *Warmia i Mazury*.

stronę skierowaną, reakcję: odgradzanie się społeczeństwa od biurokratycznego aparatu i przeciwstawianie się ludu temu aparatowi. Można by to prześledzić na wielu zjawiskach życia społecznego. Bierność polityczna ludu, bojkot wielu odgórnie inicjowanych akcji — są tego najlepszym potwierdzeniem.

W oficjalnej wszelako propagandzie mówiło się niezmiennie, z uporem o wielkiej konsolidacji narodu wokół władzy, o niestłabnącej więzi rządzących gór z masami. Jest rzeczą wiadomą, że tego rodzaju „oficjałkom” nie można się było otwarcie przeciwstawić. Tak więc każdy myślący samodzielnie człowiek musiał — obok własnej twarzy, której nie bał się tylko przed sobą samym i kręgiem bliskich przyjaciół — posiadać jeszcze oficjalną maskę i wiedzieć, kiedy, na jaką okazję należy ją przywdziać. Biada temu, kto się pomylił, kto tam, gdzie trzeba się było maskować, odkrywał swoją prawdziwą twarz. Wtedy wołano: „zdemaskował się wróg”, nie wiedząc o tym, że gdyby w pewnym momencie wszyscy Polacy pozdzierali maski — trzeba by krzyczyć: „wrogiem jest naród!”. Polskie społeczeństwo w odruchu samoobrony murem masek odgrodziło się od — w większości wypadków narzucanych mu — etatowych przywódców.

Działacze partyjnych i państwowych owego okresu można by z grubsza podzielić na tych, którzy ową powszechną maskaradę przyjmowali za dobrą monetę i wnioskując z wyrazu masek, uważali się za prawdziwych reprezentantów interesów społeczeństwa oraz tych, którzy doskonale zdawali sobie sprawę z wielkości rozdźwięku między stalinowską tyranią, a narodem polskim, ale dla własnej wygody chwalili sobie maskaradę modląc się, by trwała jak najdłużej. Była też — i nie miała — grupa działaczy rozumiejących całą tragedię narodu i chcących zmienić układ sił w kraju. Niestety, oni też musieli przywdziewać maski i niewiele mogli zrobić.

Już na początku polskiej rewolucji naród raptownie przerwał haniebną maskaradę i na setkach zebrań i wieców wyraził swą prawdziwą wolę. Każda z owych trzech grup działaczy zajęła inne stanowisko wobec wielkich zgromadzeń ludu i wysuwanych żądań. Jednych przeraziła ta nieznana dotychczas postawa ludu. Teraz dopiero ujrzeli wielką pustkę wokół siebie, zrozumieli iluzoryczność hasel o własnej więzi z masami. Zbyt krótki jednak był czas wzajemnego — nie opartego tym razem na fałszu — poznawania się, by mogli ów żywiołowy ruch uznać za swój, stanąć na jego czele. Inni, wiedząc z góry jakiego „wyroku” mas można się spodziewać, celowo i z rozmysłem usiłowali do ostatniej chwili powstrzymać naturalne parcie narodu — między innymi do odsunięcia od władzy ludzi skompromitowanych, którzy nie mogliby w ogóle gwarantować spełnienia postulatów rewolucji. Przyznanie racji temu ogólnemu dążeniu — a pod naciskiem mas trzeba byłoby to uczynić — musiałyby się równać oficjalnemu potwierdzeniu własnego politycznego bankructwa.

Stąd wzięły się — poza nielicznymi wyjątkami — porażki etatowych działaczy na olsztyńskich — i nie tylko olsztyńskich — rewolucyjnych wiecach, zebraniach i manifestacjach. Nie mogło i nigdy nie może być inaczej, gdy kierownicy polityczni zjawiają się na wiecu nie jako jego zwolennicy i przywódcy, ale jako ci, którzy starają się tej formy wyrażania woli mas uniknąć.

Nadarzyła się sposobna okazja: Komitet Centralny Partii rzucił hasło: „dość wiecowania!”². I znów — trzeba sobie to powiedzieć zupełnie szczerze — różni ludzie różnie to hasło zrozumieli i na nie zareagowali. Skompromitowani „przywódcy”

² Władysław Gomułka, 24 października, podczas manifestacji na warszawskim Placu Defilad, swoje wystąpienie zakończył zniemiennymi słowami: „Dość wiecowania i manifestacji! Czas przejść do codziennej pracy...”.

odetchnęli z ulgą, żywiąc nadzieję że już ich ten „nieznośny lud” nie będzie niepokoił, że się wszystko ustabilizuje i może(?) uda im się obronić własne fotele. Poczęły się też rozlegać złowieszcze głosy, że już czas najwyższy wziąć rozkrzyczane tłumy „za mordę”. Z drugiej strony wśród owych „wiecowników” (określenie zapożyczone od „Oseta”³, którymi nie zawsze — jak sugeruje „Oset” — są chuligani i anarchiści) można zaobserwować pewien przypływ nastrojów przygnębienia wynikający z tego, że się jeszcze nie we wszystkich sprawach otwarcie wypowiedzieli oraz z obawy, by ważne decyzje znów nie zaczęły zapadać bez ich wiedzy, udziału i aprobaty — wbrew nim. Świadomość, że pewne, bardzo istotne i możliwe do natychmiastowego zrealizowania postulaty (zmiany personalne), wysuwane na przeróżnych zgromadzeniach ludu, zostały w wielu wypadkach tylko w minimalnym stopniu uwzględnione — potęguje te nastroje. I nie ma żadnych podstaw, czy ów człowiek, ta czy inna grupa ludzi zwolniła eksponowane stanowiska dla bardziej na to — w opinii mas — zasługujących. Cóż, w sytuacji rewolucyjnej wiele aktów dokonuje się w trybie nadzwyczajnym, a nikt chyba nie wątpi, że sytuacja rewolucyjna u nas istniała i istnieje.

To, że poważna część społeczeństwa chciałaby dziś jeszcze „wiecować”, tłumaczy się również rozszerzaniem się rewolucji. Jak kamień rzucony w wodę zatacza coraz nowe i szersze kręgi, tak i rewolucja, której iskra rozbłysła w Warszawie, objęła płomieniem — już w terminie późniejszym — tak zwaną Polskę wojewódzką. I tu, nota bene, nie wszystkie środowiska w jednakowym czasie i z równą siłą.

Gdy w Olsztynie na wielkim wiecu manifestowało swe uczucia tysiące mieszkańców miasta — kortowscy studenci dopiero budzili się z letargu beczynności. Następne jednak dni należały do nich. Wielokrotne i zawsze z tego samego źródła wypływające — co musi mieć swoje głębokie uzasadnienie — alarmy o studenckich burdach okazały się prowokacyjnie fałszywe. Efektem studenckiego wrzenia stało się utworzenie Komitetu Rewolucyjnego wywierającego dziś niemały i dodatni bez wątpienia wpływ na tok wydarzeń w Olsztynie i w województwie. Za studentami ruszyły się zakłady pracy, miasta powiatowe. Wszędzie działały te same hamulce i nie wszędzie społeczeństwo miało możliwość swobodnego wyrażenia swej opinii i przedstawienia swych żądań. Byłoby naiwnością sądzić, że ta fala dotarła już do wszystkich środowisk i zakątków. Stąd wołania — „chcemy wieców!”. niesprawiedliwe byłoby przy tym twierdzenie, że wiece stanowią tu cel sam w sobie. Wiece są tylko formą wyrażania opinii, formą oddziaływania mas na to, co dzieje się w poszczególnych miejscowościach i środowiskach. Wiece są formą wyrażania nieufności lub poparcia dla miejscowych przedstawicieli władzy.

Powiedziałbym nawet, że żywiołowe zgromadzenia ludzi były w dniach Października, a i są w wielu wypadkach nadal — jedyną formą wyrażania rzeczywistej woli mas. W tych przełomowych dniach nie mogły się masy zdać całkowicie na swych rzekomych reprezentantów w radach narodowych, bo nie były te rady instancjami w całym znaczeniu tego słowa wybieralnymi i w rzeczy samej tylko w minimalnym stopniu wyrażały racje ludu. Nie mogli też wyborcy odwołać nie cieszących się zaufaniem radnych, bo nikt w Polsce nie wie, jakby to praktycznie miało wyglądać. Nie mogły masy, w tym szeregowi członkowie partii, zdać się całkowicie na instancje partyjne — nie mogły z tych samych względów. Potwierdziło to w pełni zarówno Plenum Komitetu Wojewódzkiego, jak i plenarne posiedzenia Komitetów Powiatowych.

³ „Rajmund Oset”, pseudonim Tadeusza Ostaszewskiego (ur. 1929 r.), od 1954 r. dziennikarza *Głosu Olsztyńskiego*.

W tej sytuacji pozostały wiece. Rezolucje olsztyńskich wieców miały duży wpływ na podjęcie słusznej uchwały Plenum KW. Są nawet ludzie, którzy mają pretensje do „wiecowników”, że nie wywarli ostatecznie silnego nacisku na przebieg wyborów na Plenum KW. Powołują się przy tym na najlepsze wzory, wspominając o presji „ulicy” na tok obrad i wyborów podczas VIII Plenum KC.

Wszystko to nadało wiecowemu ruchowi szczególne znaczenie. Ruch ten dotychczas spełnił wyłącznie dodatnią rolę. Nawet najwięksi przeciwnicy „wiecowania” zastrzegą się w tym momencie: „ależ my tych zasług nie negujemy”. Wydaje mi się, że nie wystarczy uznawać minionych zasług i tego ruchu, jest w nim bowiem olbrzymia, konkretna siła, która może i powinna spełnić wielką rolę również w naszej bliskiej i dalszej przyszłości. Ta siła musi dać znać o sobie w okresie sprawozdawczo-wyborczym w partii, ponieważ nie jest to — jak pisze „Oset” — sprawa tylko partii, ale całego narodu, którego partia jest przecież niewielką acz kierującą częścią. Ten ruch musi dać znać o sobie w okresie wyborów do Sejmu. Jakżeż bowiem, nie uwzględniając tego, będziemy przedstawiać masom kandydatów na posłów? W jakiż inny sposób wywrą one wpływ na ostateczne ukształtowanie list kandydackich? Wprowadzać będziemy w Polsce konsekwentnie i stanowczo socjalistyczną demokrację, w której władza ludu przestanie być tylko czczym frazesem. Zmierzamy do jak najpełniejszego ludowładztwa i w tym procesie jedną z pierwszorzędných ról odegra z pewnością zapoczątkowany w dniach Października „wiecowy ruch”. (Pod tym określeniem rozumiem nie tylko masowe zebrania, ale przede wszystkim bogatą treść).

Tu mnie ewentualnie zaatakują antagoniści: „warcholstwem jest w chwili obecnej przeciwstawianie się woli KC”. Toteż pośpieszam z wyjaśnieniem: ani mi w głowie podważać słuszność wezwania KC do zaprzestania wieców. Jednocześnie zaś — jeśli dobrze rozumiem — uważam, że jest to wyłącznie nakaz chwili. I tylko powagą chwili może być uzasadniony. Chodzi o to, by wiecowej atmosfery nie wykorzystali dla prowokacji zwolennicy starych porządków — tak jak to się stało na Węgrzech. Z drugiej strony chodzi o to, by tej atmosfery nie wykorzystali przeciwnicy socjalistycznych porządków, tak jak to — w późniejszym czasie — próbowali uczynić na Węgrzech. Interes państwa i narodu wymaga porządku, dyscypliny.

Powiedziałbym więc: osobliwa, szczególnie napięta sytuacja międzynarodowa, odwracając uwagę Polski od istotnych spraw wewnętrznych, stała się powodem pewnych chwilowych zahamowań na drodze demokracji socjalistycznej. Wynikło to z potrzeby szczególnej, większej niż kiedykolwiek dyscypliny społecznej. Zahamowaniom też uległ proces najgłębszych, a leżących w interesie narodu zmian personalnych, zwłaszcza w organach terenowej władzy. Stabilizacja sytuacji na świecie, ostateczne zakończenie walk na Węgrzech — będzie oznaczać w wielu wypadkach przyptyw drugiej fali polskiej rewolucji. Dla każdego, kto nie jest jednodniowym politykiem — ta prawda musi być zupełnie oczywista. Ta druga fala może się okazać silniejsza i gwałtowniejsza od poprzedniej.

Sądzę, że warto pomyśleć co zrobić, by tę falę skierować we właściwą stronę, by odgrodzić od niej jednocześnie wszelkie uboczne i bałamutne nurty. Dotychczas był to ruch najzupełniej żywiołowy. Dziś wszelako, gdy odzyskały siłę i znaczenie organizacje partyjne, gdy w większych skupiskach powstają komitety rewolucyjne, a w zakładach pracy samorządy robotnicze, gdy organizuje się ludowa milicja porządkowa — są wszelkie warunki, by „wiecowym ruchem” politycznie pokierować i zabezpieczyć się

przed ewentualnymi, nieprzewidzianymi ekscesami. Troska o właściwe wykorzystanie siły zawartej w ludowych manifestacjach powinna chyba być jednym z naczelnych zadań kierowników politycznych. Nierozważne, wynikające z nieliczenia się z nastrojami mas — byłyby dążenia do przeciwstawienia się „wiecom” za wszelką cenę. Skutki takiego postępowania mogłyby się okazać tragiczne.

I jeszcze jedna sprawa. Prowokacja. Zwykło się obecnie pod to pojęcie podciągając wyłącznie tak zwane nieodpowiedzialne wystąpienia „wiecowników”. Prowokacje mogą jednakże występować nie tylko ze strony wiecujących tłumów. Mogą to być również prowokujące nieodpowiedzialne decyzje pewnych partyjnych i państwowych instancji. Da się to prześledzić na przykładzie wydarzeń olsztyńskich: na wiecach wyrażono votum nieufności I sekretarzowi KW. Plenum nie wzięło tego pod uwagę, pozostawiając go na dotychczasowym stanowisku. Już następnego dnia rozlała się w Olsztynie i w województwie fala protestujących wieców, demonstracji i nawet strajków... Aż takich trzeba było aktów, by I sekretarz zdecydował się ustąpić⁴ z dotychczasowego stanowiska..., a jeszcze istnieją podobne „punkty sporne”.

Pragniemy spokoju, wystrzegamy się kroków nierozważnych — trzeba więc, by „obydwie strony” dbały o zachowanie podstawowych warunków „zawieszenia broni”.

Może najzupełniej niesłuszne, ale głęboko uzasadnione jest, że sprawy personalne, zwłaszcza w terenie, stanowią szczególnie niebezpieczne ogniska. Poszczególni ludzie nabrali w opinii mas znaczenia symboli oddalającego się powoli, okrutnego okresu w historii narodu. Przeciwno nim skierowane jest natarcie. Wcześniej czy później będą musieli odejść na zawsze — lub chociaż na czas pewien — ludzie nie mający w tej chwili poparcia mas. Dlatego nie rozumiem uporu w zachowaniu dotychczas zajmowanych pozycji w hierarchii społecznej, nie rozumiem, bo skłonny jestem wierzyć, że wszyscy kierują się dobrem partii, która raz po raz apeluje do rozsądku narodu. Inne tłumaczenia odrzucam — nie chciałbym bowiem nikogo obrażać...

20.

20 listopada — Jan Kowalski¹, „Warmiacy, Mazurzy — i Wojsko Polskie” — Głos Olsztyński, nr 277.

Wśród wielu tematów, które do niedawna stanowiły dla dziennikarza „tabu”, poczesne miejsce zajmowało wojsko. Radosny, państwowotwórczy reportaż z okazji powrotu załogi garnizonu z poligonu do koszar — proszę bardzo! Migawki ukazujące wyszkolenie bojowe i wyposażenie naszej armii — i na to jeszcze, aczkolwiek z trudem, można było uzyskać zgodę. Ale jakakolwiek, chociażby najbardziej nieśmiała krytyka, jakiegokolwiek, chociażby najskromniejsze postulaty opinii publicznej pod adresem „zbrojnego ramienia ludu pracującego” — co to, to nie! W takich sprawach cenzura była nieubłagana: wojsko stoi poza zasięgiem cywilnej krytyki prasowej.

Uważam za zbędne wdawanie się w ocenę tego stanu rzeczy. Sprawa jest jasna: wojsko, właśnie dlatego, że stanowi zbrojne ramię ludu, nie może być od ludu odgródzone chińskim murem tajemnicy. Nie myślę tu oczywiście o uzasadnionej tajemnicy wojskowej. Myślę o tych wszystkich sprawach, które muszą być poddane stałej kontroli społeczeństwa — o sprawach wychowania żołnierza na wartościowego obywatela.

⁴ Jan Klecha ustąpił 29 października, ale pozostał w składzie egzekutywy KW PZPR w Olsztynie.

¹ Jan Kowalski-Gadomski, publicysta Głosu Olsztyńskiego.

W ostatnich dniach w wojsku naszym zaszły poważne zmiany na stanowiskach kierowniczych². Pewne jest, że sygnalizują one realną poprawę praktyki obowiązującej dotychczas w naszych siłach zbrojnych. Wydaje się, że tym samym stworzony został klimat dla wysuwania pod adresem wojska postulatów opinii publicznej.

Korzystając z tego chcę w tej chwili zająć się jednym tylko, co prawda, wycinkowym zagadnieniem — ważnym jednak specjalnie dla naszego województwa. Idzie o służbę wojskową młodych ludzi miejscowego pochodzenia.

* * *

Zacznijmy od anegdoty.[!] Poznałem przypadkowo człowieka zwolnionego niedawno z czynnej służby wojskowej. Jest to Mazur. Nie będę relacjonował całej z nim rozmowy — wierzcie mi, że była bardzo przykra. Przykra dla mnie. Bo cóż miałem odpowiedzieć swemu rozmówcy, gdy ten z nie ukrywanym żalem i goryczą pytał mnie, dlaczego to Warmiaków i Mazurów kieruje się do batalionów roboczych, jako żołnierzy gorszego gatunku? Dlaczego, nawet wówczas, gdy dostaną się oni do normalnej jednostki, traktowani są przeważnie, jako „element niepewny”, sekowani przez podoficerów, pomiatani przez kolegów, obrzucani nieraz epitetami „szwab” itp.? Jak miałem reagować na wyraźną wrogość tego człowieka, gdy wiedziałem, że została ona wywołana systematyczną, dwuletnią dyskryminacją — powszednim chlebem młodego Mazura w Wojsku Polskim?

Jest w tym jakiś głęboki paradoks. Czynna służba wojskowa ma przecież na celu nie tylko przygotowanie obywatela do obrony Ojczyzny — jeśli tego zajdzie potrzeba — przygotowanie pomyślane jako nauka żołnierskiego rzemiosła. Ma także na celu wychowanie młodego człowieka, wyrobienie w nim poczucia dyscypliny, umiejętności społecznego współżycia, przyswojenie mu pewnych podstawowych wiadomości o jego kraju (jeśli ich przedtem nie zdobył) — a przede wszystkim pogłębienie w nim miłości do tego kraju, związanie z Ojczyzną mocnym węzłem szczerego patriotyzmu. Jednak w wypadku młodzieży warmińskiej i mazurskiej (a o ile wiem, częściowo także śląskiej i kaszubskiej) dzieje się bardzo często wręcz przeciwnie. Służba wojskowa nie tylko że nie daje w odniesieniu do tych ludzi zamierzonych rezultatów pozytywnych, lecz odwrotnie — wywołuje uczucie niechęci do naszego wojska i naszego państwa. Uczucie niechęci, które musi przecież powstać wówczas, gdy zamiast mądrej pracy wychowawczej stosuje się szykany li tylko dlatego, że ktoś nosi niemieckie imię czy też niezbyt płynnie wysławia się po polsku.

Jak dalece szkodliwa jest ta sytuacja — zarówno z czysto wojskowego, jak i ogólnospołecznego punktu widzenia — nie trzeba chyba nikogo przekonywać, że wymaga ona natychmiastowej zmiany jest to także jasne. Sądzę jednak, że jeśli w dążeniu do tej zmiany najwyższe władze wojskowe nie zdecydują się na pociągnięcia radykalne — wówczas wyniki będą niewspółmiernie nikłe w stosunku do najśluszniejszych choćby zamierzeń.

Co uważam za „pociągnięcia radykalne”?

Po pierwsze: zaniechanie kierowania Warmiaków i Mazurów do kompanii roboczych co — i słusznie! — jest przez nich uważane za przejaw dyskryminacji.

² Ministrem obrony narodowej 13 listopada został Marian Spychalski. Wówczas też grono radzieckich wojskowych, wraz z marszałkiem Konstantym Rokossowskim opuściło Polskę.

Po drugie: zdecydowanie, aby ludzie ci pełnili obowiązkową służbę wojskową na terenie naszego województwa.

Można się spodziewać, że ten drugi punkt wywoła szereg wątpliwości i zastrzeżeń. Spróbuję go więc szerzej uzasadnić.

Znane są przykłady sekowania Mazurów i Warmiaków nie tylko w batalionach roboczych lecz również i w jednostkach liniowych. Sekowania całkiem nieoficjalnego: wiemy przecież, że w wojskowej praktyce dnia codziennego podoficer, ba, starszy strzelec, ma możliwość zalania sadła za skórę żołnierzowi wbrew opinii choćby samego dowódcy dywizji. To „zalewanie sadła za skórę” rodzi się z traktowania przez wielu ludzi z Polski centralnej każdego autochtona jako Niemca, co w dalszym następstwie powoduje wrogość wywołaną przez żywe wciąż jeszcze uczucia nacjonalistyczne. Aparat polityczny jednostki, w której znajduje się kilku tylko Warmiaków czy Mazurów, nie może specjalnie kierować swej uwagi na sprawy z nimi związane, ani w sensie opieki nad nimi, ani też w sensie zbliżania ich do polskości. Są oni bowiem zbyt małą cząstką żołnierskiej zbiorowości w jednostce, ich problemy to tylko ułamek ogólnych zadań wychowawczych. A więc nawet przy najśluszniejszych rozkazach i nastawieniach sytuacji obecnej nie da się zmienić w szybkim tempie — ponieważ nie da się w tym tempie przeprowadzić reedukacji naszego społeczeństwa, nie da się każdemu kapralowi spod Kielc czy Miechowa wytłumaczyć dlaczego jego wrogi stosunek do mazurskiego rekruta jest niesłuszny i jak powinien on, podoficer, budzić w żołnierzu spod Mrągowa polski patriotyzm.

Inaczej przedstawiałaby się ta sprawa, gdyby żołnierze miejscowego pochodzenia pełnili służbę na terenie naszego województwa. Stanowiliby oni wówczas poważny procent składu osobowego swych jednostek. Pozwalałoby to na otoczenie ich przez dowództwo właściwą opieką, na uchronienie przed dyskryminacją, przede wszystkim przez specjalne przygotowanie korpusu oficerskiego i podoficerskiego. Możliwe byłoby również lepsze życie się żołnierzy Warmiaków i Mazurów z ich kolegami pochodzącymi z Polski centralnej na tej prostej zasadzie, że żołnierze miejscowi nie stanowiliby nielicznej, izolowanej grupki, lecz byłiby poważną częścią składową jednostki, odgrywającą niemałą rolę w codziennym żołnierskim życiu. I wreszcie (argument bardzo ważny) aparat polityczny w wojsku miałby możliwość opracowania, w porozumieniu z zajmującą się specjalnie tymi zagadnieniami wojewódzką instancją partyjną, odrębnego programu wychowawczego, mającego na celu zbliżenie żołnierzy — rekrutujących się z ludności miejscowej — do polskości.

Korzyści wynikające z takiego rozwiązania są oczywiste. Można tylko dodać, że nie ograniczają się one wyłącznie do kształtowania psychiki i poglądów odbywających służbę wojskową Warmiaków i Mazurów. Niewątpliwie wpływ proponowanych zmian byłby szerszy — ogarnąłby, w pewnym przynajmniej stopniu, rodziny i środowiska młodych żołnierzy.

Propozycje zawarte w tym artykule Komitet Wojewódzki PZPR kieruje obecnie do nowych najwyższych władz wojskowych. Wydaje się nam, że trzeba, aby zostały one możliwie najszybciej i pozytywnie rozpatrzone. Są bowiem zgodne z opinią mas. Tą opinią, która nawet w sprawach wojska musi zacząć odgrywać właściwą, decydującą rolę.

21.

24 listopada — Jan Sikora¹, „Nowa sytuacja — nowi ludzie” — Rzeczywistość, nr 34.

Reedukacja partii stanowi w całokształcie współczesnego życia politycznego w Polsce konieczność najpilniejszą. Jeśli odrodzenia i naprawienia wymaga całość spraw publicznych naszego państwa ludowego, to proces ten winien rozpocząć się od najważniejszego organu, jakim jest partia. Nie można bowiem w nowych warunkach spełniać z powodzeniem i rozmachem roli kierownika bez oczyszczenia samego siebie od wszelkich hamulców, nawarstwień w postaci skostniałych poglądów i ich nosicieli. Ogrom zadań w tym zakresie wystąpi w całej wyrazistości, gdy uzmysłowimy sobie, że właśnie nie kto inny, lecz przede wszystkim partia jako całość była głównym twórcą starego systemu, wszystkich jego ujemnych skutków — wypaczeń i błędów.

Powstaje pytanie; czy może reedukować się, zrzucić z siebie wszelkie brudy nosiciel starego, ten kto kiedyś tworzył i sankcjonował zienawidzony obecnie porządek?...

Pozytywną odpowiedź (i cały optymizm, który mi jeszcze pozostał) opieram na następujących przesłankach: po pierwsze na tym, że są w partii ludzie, którzy potrafili przetrwać i mimo prześladowań zachowali trzeźwość umysłów. Ich mądrość, ideowość i gorące serca są najlepszym gwarantem wniesienia odżywczych soków dla słabego organizmu. Oni właśnie — i myślę, że mają do tego niezaprzeczone prawo moralne — winni stanąć na czele tego twórczego prądu i wnieść nowy, uzdrawiający powiew w szeregi partii.

Po drugie — można, według mnie, liczyć na szczerą i gruntowną przemianę pewnej części starych działaczy partii. Jednakowoż wielu z nich musi chwilowo zejść z widowni politycznej, choćby dlatego, że sprawując odpowiedzialne funkcje w dotychczasowym okresie przepojeni zostali starym stylem działalności politycznej; droga do zdobycia utraconego lub nadszarpniętego poważnie zaufania prowadzi dla nich poprzez rzetelną i mozolną pracę wśród mas na tym szczeblu i w tym środowisku, w jaki będą mogli pracować.

I po trzecie — gwarancją uzdrowienia naszej partii są szerokie rzesze jej szeregowych członków, którzy w atmosferze swobody życia politycznego potrafią otrząsnąć się z marazmu, wyrzucić elementy skorumpowane, bezideowe i karierowiczowskie oraz wchłonąć w swe szeregi najzdrowszą część zdecydowanych zwolenników takiego socjalizmu, jaki zamierzamy budować. Dodawszy do tego poparcie narodu, upewniam się w twierdzeniu o możliwości wszechstronnego uzdrowienia całej partii. Rzecz jasna wszystkie wyżej wymienione przesłanki zaczynają dopiero działać. Ich pełny rozwój wymaga nieustannej pracy, wytrwałej i nieustępliwej postawy wszystkich zdrowych sił narodu. [...]

Celem pełniejszego omówienia problemu reedukacji partii nie można pominąć zagadnienia ściśle wiążącego się — mianowicie: jaki działacz polityczny wyrósł w partii, jakiego zaś wymaga chwila obecna.

Przytacza się zwykle szereg przyczyn wyjaśniających bolesny i przykry dla całej partii fakt pozostania w tyle za rewolucyjnym ruchem mas ludowych w gorących dniach VIII Plenum. Głębsze zastanowienie się prowadzić musi do postawienia drastycznego pytania: dlaczego te wszystkie okoliczności m.in. w postaci braku dostatecznej informacji

¹ Jan Sikora (ur. 1930 r.), w Olsztynie od 1955 r., kierownik Zakładu Podstaw Filozofii Wyższej Szkoły Rolniczej.

i wynikłej z tego dezorientacji aktywu, zwłaszcza w terenie, dały w rezultacie tak przykre zjawisko? Dlaczego doprowadziły do oderwania się od mas całej partii? Czy aż tak wielka była ich siła działania?

Aktywna postawa niektórych organizacji partyjnych nasuwa myśl, że nie wszędzie i z niejednakowymi skutkami działała ogólna sytuacja. Wniosek może być tylko jeden: winni są przede wszystkim działacze partyjni, aktywiści, którzy nie byli na tyle zdolni, by rozemścić się w tej niewątpliwie skomplikowanej sytuacji. Nie można w żadnym wypadku rozgrzeszać się, zwalając winę na obiektywne trudności, jakie w tym czasie wynikły. Zasadniczym powodem jest bez wątpienia fakt, że ludzie pełniący dotąd funkcje etatowych działaczy partyjnych nie byli zdolni z wielu przyczyn stanąć na czele mas i pokierować ich ruchem.

Odpowiedź, dlaczego tak się stało, wymaga gruntowniejszej analizy. Jej potrzeba staje się tym bardziej palącą, gdyż aktualnie staje przed partią konieczność dokonania rehabilitacji przed masami — poprzez wyjście na czołową pozycję walki o przebudowę naszego ustroju na podstawach wskazanych w ogólnym zarysie przez ostatnie Plenum.

W rozmowach z pracownikami dotychczasowego aparatu partyjnego (którzy już odeszli lub odejdą w najbliższym czasie), można usłyszeć słowa pełne gorzkości doznanego zawodu, często wprost narzekania na niewdzięczność, jaka ich spotyka. Wielu czuje się pokrzywdzonymi, ma żal do partii i do wszystkich tak ostro krytykujących ich działalność. Pracowaliśmy — mówią oni — po 12 i więcej godzin dziennie, często w niezwykle trudnych warunkach. I oto zapłata, jaka spotyka nas po wielu latach pracy.

Trzeba przyznać, że praca w aparacie partyjnym nie była wcale łatwa. Nawet największy kacyk i dzierzymorda, nie mówiąc o innych, miał bardzo dużo obowiązków i wiele czasu i sił tracił, by zasłużyć na takie miano.

Wydaje się, że cała tragedia pracowników aparatu partyjnego ma obecnie swe najgłębsze źródło w niewłaściwym dotąd rozumieniu i ustawieniu roli partii, przede wszystkim zaś aparatu partyjnego w ustroju socjalistycznym.

Ludziom tym kazano zajmować się wszystkim. Do zakresu ich kompetencji należały wszystkie najdrobniejsze sprawy. Ileż energii ludzkiej marnowano w takiej sytuacji jedynie po to, by kontrolować pracę organów państwowych, jakże często dublowano niepotrzebnie działalność różnych instytucji przy zaniedbywaniu właściwej pracy politycznej. Wielu sekretarzy komitetów partyjnych chodziło na ogół rzeczywiście przepracowanych, niewyspanych, mimo to że nie bywali w zakładach pracy, wśród załóg. Absorbowały ich konferencje i posiedzenia w zarządach, prezydiach, biurach i urzędach, podpisywali pisma, polecenia, mobilizowali innych przez telefon, przyjmowali nawet w swych gabinetach ludzi o opinii aktywistów (najczęściej wg ankiety). Tak schodził drogocenny czas niejednego człowieka, któremu nakazano być działaczem lub który kiedyś nim był rzeczywiście. Znali go i wiedzieli o jego pracy dla mas wszyscy, z wyjątkiem tych, dla których pracował.

Ta rzekoma praca dla mas, z dala od mas, nie była wcale dziełem przypadku. Mimo słownych obwarowań wynikało to w gruncie rzeczy z braku wiary w masy, z cichego, lecz wymownego uznania ich reakcyjności. Najbardziej postępowym — twierdzono — był działacz, a że masy nie miały tzw. klasowego kośćca, należało się od nich odgrodzić. Pracę polityczną zastępowało komenderowanie i to z jak najdalszej odległości. Lękano się bliższego styku, zwłaszcza z masami bezpartyjnymi na większych zebraniach (stąd negatywny stosunek do ostatnich wieców), bo zawsze — jak się mówiło — mogłoby tam

„coś wyskoczyć”. Z członkami partii byłoby w takich wypadkach jeszcze pół biedy; można by dla uspokojenia dać jakąś karę partyjną.

W tej atmosferze wychowywał się u nas typ niby-działacza, a faktycznie nadurzędnika, administratora. W celu uprawomocnienia tego stanu rzeczy zmieniono nawet pojęcie; cechy charakteryzujące prawdziwego działacza politycznego napelniono swoistą treścią. Operatywność oznaczała umiejętność udzielania wytycznych, ustalania dobrego kalendarzyka posiedzeń, przeprowadzania odpowiednich odpraw oraz złożenia w przewidzianym czasie gładkiego meldunku o przeprowadzonej akcji. Ideowością nazywano gorliwość w pokornym spełnianiu poleceń wyższej instancji. Rewolucyjność i pewność polityczną zapewniały: czysta ankieta, częste używanie słów w rodzaju: imperializm, wróg i czujność oraz nie tyle faktycznie ateistyczny światopogląd, ile wyrażany w wątpliwej wartości słowach wrogi stosunek do kleru. Cechę rzeczowości i rozwagi przypisywano ludziom, którzy nie mieli nigdy własnego zdania. Inni byli awanturnikami i rozrabiaczami, gdyż, jak się utarło, dobry członek partii nie powinien mieć nigdy żadnych wątpliwości, niejasności, a tym bardziej wahań ideologicznych. Po pęknięciu sztucznej kurtyny, zasłaniającej oblicze, okazało się, że i członek partii ma nie tylko różne wątpliwości, ale przeżywa wewnętrzne rozterki na tle ideologicznym.

Ludzi o takich właściwościach potrzebował i wychowywał system; stojący na wyższych szczeblach hierarchii partyjnej chcieli na obraz i podobieństwo swoje wychowywać nierzadko środkami przymusu, wszystkich członków partii.

Natchnienie swe czerpali tylko z góry, z instrukcji od posłanników wyższych władz. Opinia mas nie miała dla nich nigdy nawet takiego znaczenia, jak polecenie przedstawiciela wyższego organu. I gdy w przededniu i w dniach VIII Plenum zabrakło ścisłych dyrektyw odgórných, ludzie ci stali się bezradni, znaleźli się w sytuacji okrętu bez kompasu wśród burzy na morzu. Najgorsze w tym wszystkim to naiwne usprawiedliwienie siebie, mniemanie, że wina spada wyłącznie na górę, która nie dała nastawienia. W odpowiedzi trzeba by zapytać ludzi mniających się politycznymi przywódcami mas, gdzie i u kogo winni oni szukać natchnienia, kto decydować ma o ich takim, a nie innym zachowaniu się. Cóż to za działacz, na którego nie mają wpływu żądania mas, który musi poinformować się w nadrzędnej instancji, jak się należy zachować, gdy masy budzą się do życia politycznego? Trzeba wreszcie rozstrzygnąć sprawę zasadniczą: kto przede wszystkim upoważniony jest i prawomocny do wydawania poleceń aktywistom, pracownikom instancji i aparatu partyjnego — szerokie rzesze członków partii i bezpartyjnych czy też przedstawiciele władz wyższych. Zgodna z marksizmem odpowiedź na to pytanie wykaże złudność i bezpodstawność zdejmowania odpowiedzialności za bierną postawę w dniach październikowych wydarzeń w Polsce z ludzi, którzy winni stanąć na ich czele. Dezorientacja i dezinformacja wskazują tylko na katastrofalny stan w naszym starym kierownictwie partyjnym i mogą być co najwyżej w tym wypadku momentem łagodzącym.

Obrzydzenie i bunt wzbudza tłumaczenie sekretarza KP bierności kierownictwa partyjnego na terenie powiatu postawą KW. Ten ostatni z kolei winę zwała na KC. W rezultacie wynika, że za bierność i wyczekiwanie większości partii odpowiedzialnych jest w gruncie rzeczy kilka osób w Polsce. Znamy już skądś takie wyjaśnianie przyczyn wszelkiego zła, jakiego nagromadziło się u nas niemało.

Przekonywającym powodem bierności partii, zwłaszcza w ostatnim okresie, może być tylko i wyłącznie słaby poziom działacza politycznego, którego ukształtowały dotych-

czasowe stosunki. Działacza oderwanego od mas, niezdolnego do samodzielnego myślenia, spowitego i skrępowanego różnymi rygorami i nakazami. Człowieka, którego zachowanie określały nie jego przekonania, zdrowy rozsądek, własne sumienie i dezyderaty ludzi pracy, lecz szczegółowe przepisy, okólniki, informacje lektorów... Niekiedy wpływ tych ostatnich sztucznych okoliczności był tak przemożny, że one właśnie kształtowały oblicze i mentalność... Trudno więc wymagać innego sposobu myślenia i postawy od ludzi izolowanych od właściwego źródła politycznego wychowania, jakim jest żywa i bezpośrednia działalność polityczna.

Dlatego też reedukacja partii musi rozpoczynać się od reedukacji wszystkich jej członków. Należy przywrócić w tym wielkim ruchu politycznym właściwe znaczenie pojęciu działacz partyjno-polityczny, przywódca mas ludowych. Cechy osobiste predestynujące danego człowieka do takiego miana winny nabrać odpowiednich, nowych treści. Ponadto od politycznego przywódcy należy wymagać samodzielności, inicjatywy, uporu w walce ze złem, wrażliwości na żądania ludzi pracy, środowiska, z jakiego się wywodzi.

Wartkim nurtem płynące życie potrzebuje — jak żywa istota powietrza — takich ludzi, z drugiej zaś strony stwarza sprzyjające warunki do ich wychowywania. Bowiem tylko ludzie byli, są i pozostaną twórcami przemian społecznych.

22.

26 listopada — Antoni Babicz¹, „Zamach na rewolucję” — *Rzeczywistość*, nr 34.

Po województwie krąży wieść: puka do okien kamienic i wiejskich domów. U jednych wywołuje niepokój i chęć walki ze złem, u innych zwątpienie. Są tacy, którzy wieść przyjmują obojętnie i tacy, którzy słysząc o niej uśmiechają się skrycie — z zadowoleniem. Wieść jest niepokojąca. Mówi ona o ludziach, którzy uśmiercają naszą rewolucję, którzy w młody, zdrowy organizm rewolucji wsączają stary, spleśniały jad dogmatów i złych praktyk. Działanie jadu jest wielce szkodliwe. Zdolny on jest najzdrowszy i najbardziej jędrny młodością organizm przekształcić w zwiędły, obwisły twór. Wieść głosi, że rewolucji w naszym województwie — jeśli nie nastąpi radykalne uzdrowienie sytuacji, nie nastąpią zdecydowane zmiany wśród rządzących — grozi w wieku niemowlęcym uwiad starczy.

Czyżby jakieś złe, agresywne siły przygotowywały się do zbrojnej walki z naszą olsztyńską rewolucją? Czyżby szykowały zbrojny zamach stanu?

Ludzie są złośliwi. A złośliwi, jak głosi fama, mówią między sobą, że takie małeńkie bezkrwawe a radykalne zamachy stanu na fotele biurokratów i konserwatystów w powiatach, a nawet i w samym województwie mogłyby przynieść jedynie zbawienny skutek. Ci złośliwcy głoszą, że zamachów tych można dokonać drogą legalną poprzez konferencje partyjne i sesje rad, poprzez powstające tu i ówdzie rady robotnicze.

Zostawmy jednak złośliwych, a wróćmy do samej wieści. Jak we wszystkich wieściach, które przechodzą z ust do ust i różnie są przyjmowane przez ludzi, tak i w tej pozostały tylko fakty dobre i złe, czyny sprawiedliwe i szkodliwe, a wszystkie zjawiska pośrednie wytarły się i znikły.

A wieść głosi.

¹ Antoni Babicz (ur. 1929 r.), dziennikarz działu partyjnego *Głosu Olsztyńskiego* od listopada 1951 r. 31 października 1956 r. wybrany w skład egzekutywy Komitetu Miejskiego PZPR w Olsztynie.

Ci sami, którzy przez szereg lat świadomie lub na skutek głupoty pchali województwo, poszczególne powiaty i gromady w odmet zacofania i nędzy, ci sami, którzy niszczyli gospodarczo nasze ziemie, stoją teraz na czele rewolucji i skierowują ją, na skutek zakorzenionego i zakrzepłego w żyłach zacofania, urojonych obaw i lęku przed pełną samodzielnością mas, w boczne kręte ścieżynki. Ludzie opowiadają, że wśród tych starych, stojących na czele nowych przemian nie wszyscy są źli. Część, choć bardzo mała, jest dobra i rozumie potrzebę chwili. Większość jednak, większość w instancjach partyjnych i radach narodowych jest zła. Niezdolna do kierowania na skutek kompromitującego nieuctwa, zakorzenionego od lat sloganowego konserwatyizmu, nieudolności w rozwijaniu samodzielności i inicjatywy ludzi pracy. Oni boją się ludzkiej inicjatywy. Boją się, ponieważ z rozwojem samodzielności mas wyjdzie szybko i w pełni na jaw ich nieprzydatność jako przywódców. Boją się ludzi wykształconych i mądrych, których nie brak w powiatach, lecz których oni przedtem poutrącali, a teraz nie pozwalają im jeszcze podnieść głowy. Bo rewolucja w powiecie, w gromadzie oporniej i wolniej przebiega niż w stolicy, niż w województwie.

Nim rewolucja dotrze do tych zakątków i zostanie zrozumiana, nim rozhuśta umysły ludzkie i wyzwoli je do czynu, musi upłynąć sporo czasu.

I nim ludzie tam w dole zaczęli budzić się z wieloletniego odrętwienia, nim zdążyli przetrzeć zaropiałe zakłamaniem i pruderią oczy, już z powrotem miejscowi „przywódcy” założyli im kagańce. — Dość wiecowania, czas wziąć się do pracy — słowa słuszne dla stolicy i wielkich miast, dla potężnych ośrodków robotniczych, ale nie skierowane tam, gdzie z opóźnieniem budzi się inicjatywa ludzka, słowa te zostały chwycone jak ostatnia deska ratunku przez „partyjnych” kacyków i wtłoczone siłą, jak knebel, w otwierające się dopiero usta mas.

Ażeby jednak zachować pozory zmian, tu i ówdzie co sprytniejsi pozmieniali się między sobą stołkami i krzyczą — jakich to wielkich i epokowych dokonaliśmy zmian. Jeśli ktoś spróbuje protestować, to rozlega się skondensowany wrzask — Co? Chcecie rozbić jedność partii? Chcecie rozbić jedność narodu? Chcecie doprowadzić do tego, co dzieje się na Węgrzech?

Robotnicy, chłopi i inteligenci — patrzcie dokładnie i wsłuchujcie się bardzo uważnie w to, co mówią i co czynią wasi starzy, przybrani w nową skórę, przywódcy. Zwróćcie uwagę na ich słowa, a przekonacie się, że większość z nich mówi i czyni to samo, co czynili przez ubiegłe lata. Tak samo sypią cytatami i to takimi sprytnie dobieranymi, które bronią ich skóry. Z tą samą intencją, co i przed laty, przekonują o kierowniczej roli partii — mając jedynie na myśli siebie. Przyjrzyjcie się im, jak idą do PGR-ów i zakładów pracy, i zamiast służyć dobrą partyjną radą, sami, nie licząc się z waszą wolą i potrzebą narzucając wam rady robotnicze takie, jakie im odpowiadają, po to by kompromitować ideę rad robotniczych. Przedstawiają wam sytuację w kraju i na świecie w taki sposób, jaki jest dla nich najkorzystniejszy. Popatrzcie, jak wielu zachowane stanowiska nadal wykorzystuje dla własnych, osobistych celów. Przyjrzyjcie się na konferencjach partyjnych, ilu pupilków staje w ich obronie.

Ludzie opowiadają — stary aparat musi być w swej większości odsunięty od bezpośredniego wpływu na losy powiatu, województwa. Dopóki to się nie stanie, rewolucja olsztyńska będzie kuleć i więdnąć. Zmian dokonać mogą ci, którzy bezpośrednio na konferencjach partyjnych i sesjach rad narodowych decydują, kto ma ująć bezpośrednio kierownictwo. Jaki dowódca — taka armia. Nie bawić się w sentymenty, nie

pozwaląc sobie na zbytne wzruszenia wobec tych, którzy doprowadzili województwo na skraj przepaści. Ratunek tkwi w radykalnych zmianach, w powoływaniu do kierowania nowych, mądrych i uczciwych ludzi.

Wieść niesie — zniszczyć źródła, skąd sączy się jad. Odciąć macki, które jak sploty ośmiornicy wpiły się w zaledwie miesięczne, a rokujące wielkie nadzieje dziecię „polskiego Października”.